Nr. 49. Poznań, niedziela 8-go grudnia 1895. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

Treść:

„Przewrót z góry“.

Wiadomości o rozwiązaniu 11 stowarzyszeń socyalistycznych, a w ich liczbie 6-ciu stowarzyszeń wyborczych, silne wywarły wrażenie i zaniepokoiły wszystkie partye polityczne, — wyjąwszy stronnictw kartelowych.

Policya berlińska w rozporządzeniu odnośnem powołuje się na § 8 ustawy związkowej z dnia 11-go marca 1850 r., zarzucając organizacyi socyalistycznej, iż wbrew przepisom tejże ustawy, jako stowarzyszenie polityczne, wchodziło w związek z innemi tegoż charakteru stowarzyszeniami dla popierania wspólnych celów.

Jest rzeczą wprost w oczy bijącą, że na tej samej zasadzie zniesione by być mogły, a nawet powinny, organizacye wyborcze wszystkich innych partyi, gdyż wszystkie rozciągają swą działalność na cały obszar państwa, tworzą komitety centralne, prowincyonalne i podkomitety, będące w ścisłym związku z zarządem partyi. Wszystkie te organizacye istnieją stale, nie tworzą się ad hoc na czas wyborów i to jedynie umożliwia stronnictwom spreżysty i konsekwentny kierunek, a zarazem zapobiega w okresach przedwyborczych nadmiernym niepokojom i nieporządkom.

Stosowanie owego paragrafu (8) do organizacyi wyborczych tak dalece krępowałoby życie polityczne ludów w skład cesarstwa wchodzących, tak jest przeciwne charakterowi konstytucyi, że jeszcze w tejże samej ustawie z roku 1850, pod § 21, powiedziano wyraźnie, iż towarzystwa wyborcze nie podlegają zastrzeżeniom § 8-go. — Następnie zaś w ustawie dla parlamentu niemieckiego z roku 1869 paragraf 17 stwierdza, iż: „uprawnieni do wyborów mają prawo tworzyć towarzystwa dla roztrząsania spraw wyborczych, tyczących parlamentu oraz mają prawo odbywać bez broni w miejscach zamkniętych publiczne posiedzenia“.

Nie podlega wątpliwości, iż istnienie organizacyi socyalistycznej, zarówno jak istnienie wszelkich innych organizacyi stronnictw, wiadomem było policyi berlińskiej, że zgromadzenia socyalistyczne odbywały się jawnie od lat wielu bez przeszkód ze strony rządu.

Nie donoszono też w ostatnich czasach o żadnem specyalnem zajściu, o żadnych wybrykach socyalistów, któreby to niezwykłe rozporządzenie policyi tłomaczyły. Należy nawet przypuszczać, że w porze obecnej, gdy władze rządowe bardzo nieprzychylnie do socyalistycznego stronnictwa się odnosiły, gdy mu otwartą wypowiadały wojnę, członkowie jego tem większą zachowywali ostrożność w stosowaniu się do przepisów istniejących, nie chcąc i tak zagrożonej sytuacyi lekkomyślnem postępowaniem pogorszyć.

To też rozporządzenie prezesa policyi berlińskiej a raczej jego bezpośredniego zwierzchnika, ministra Köllera, uważać należy jako jeden z epizodów tej walki, którą od roku toczą władze rządowe przeciw socyalnym demokratom, wzywając do współudziału wszystkie stronnictwa podtrzymujące porządek państwowy. (Staatserhaltende Parteien).

Walka ta dotychczas wychodziła jedynie na korzyść socyalistów, a szczęście bezwarunkowo nie sprzyjało rządowi.

Już rok temu poniósł on stanowczą porażkę przy otwarciu parlamentu, gdy zamierzony proces przeciw posłom socyalistycznym pod naciskiem większości izby prawodawczej cofnąć był zniewolony.

Niefortunna ustawa antiprzewrotowa sprawiła, iż w czasie ostatniej kadencyi parlamentarnej bynajmniej nie sprzyjające socyalistom stronnictwa wystąpić musiały w ich obronie, zagrożone utratą najcenniejszych swobód konstytucyjnych.

Ryzykowny krok ministra Köllera dziś w chwili otwarcia parlamentu, wytwarza dla rządu sytuacyę równie drażliwą i równie niekorzystną, jak ta, w której się znalazł przy obradach nad antiprzewrotową ustawą.

Postanowienie prezesa policyi nie może mieć decydującego znaczenia. Zgodnie z brzmieniem ustawy, stowarzyszenia przekraczające przepis paragrafu 8-go mogą być zamknięte tylko tymczasowo, póki sąd sprawy nie rozstrzygnie.

Nie można dziś jeszcze wiedzieć, jakie sąd w danym wypadku zajmie stanowisko, to jedno wszakże jest jasnem, że opinia publiczna i tym razem stanie w obronie zagrożonych swobód. — Z wyjątkiem dwóch żadne z pism niemieckich, bez względu na barwę, nie pochwala kroku ministra Köllera.

Jest rzeczą niezawodną, iż w parlamencie posypią się interpelacye dotyczące niefortunnego rozporządzenia, a posłowie cesarstwa niemieckiego już niejednokrotnie dali dowód swego przywiązania do konstytucyjnej wolności, przywiązania, którego osłabić nie zdoła strach wobec czerwonego widma przewrotu.

Świadczy to zresztą o politycznej dojrzałości narodu niemieckiego, o poczuciu własnej siły i żywotności, o poszanowaniu godności obywatelskiej. Niemieccy posłowie rozumieją dobrze, że wszelkie prawa wyjątkowe, wszelkie naruszanie wolności politycznej stanowi broń obosieczną. Można nią ranić drugich, można być i samemu zranionym. Wiedzą również, iż najpewniejszą drogą do zabezpieczenia własnych praw jest szanowanie praw innych ludzi!

Jeżeli zaś posłowie niemieckiej narodowości takiemi kierują się zasadami, to o ileż gorliwiej przestrzegać ich powinni Polacy, którzy nigdy ani marzyć nie mogą o zajęciu uprzywilejowanego stanowiska, których jedynym ratunkiem przed uciskiem jest konstytucyjna wolność, zagwarantowana wszystkim poddanym niemieckiego cesarstwa. Możemy być zupełnie pewni, że każde naruszenie tej wolności nieuchronnie da się nam we znaki, że wszystko, co krępuje działalność polityczną ogółu obywateli, przez nadmiernie gorliwych wykonawców władzy z całą surowością do nas stósowanem będzie. — Byłoby też, pomijając stronę etyczną kwestyi, błędem politycznym nie do darowania, gdybyśmy w obecnem położeniu rzeczy biernie się zachowywali, lub stanęli po stronie niezręcznego ministra przeciw zdrowo myślącej większości niemieckiego narodu.

Co do socyalistów, to rozporządzenie ministeryalne bynajmniej ich nie zastrasza. Wiedzą oni, że odniosą z niego jedynie wielką korzyść moralną i wielkie moralne zwycięztwo, tak jak ze wszystkich dotychczas przeciw nim stosowanych wyjątkowych środków. Ta pewność siebie brzmi też w odezwie ogłoszonej przez Zarząd partyi.

W chwili, gdy to piszemy, rozeszła się znów w prasie wieść sensacyjna! Minister Köller otrzymał dymisyę. W jakikolwiek sposób upozorować będą chciały pisma kartelowe ten krok rządu, nie zmieni to faktu, że dymisya dana ministrowi w chwili, gdy tenże tak stanowczem rozporządzeniem działalność swą zamanifestował, świadczy, iż najwyższa władza postępowania jego nie aprobuje. Zbyt energiczny, a niedość zręczny polityk widocznie okazał się niebezpiecznym pomocnikiem w walce toczonej, w obronie ładu i porządku.

J. M.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

„Dziennik Kujawski“ o wyborach do inowrocławskiej rady miejskiej:

Wynik walki wyborczej możemy nazwać pomyślnym. Wprawdzie liczba reprezentantów polskich, którzy teraz w radzie miejskiej zasiadać będą, nie odpowiada jeszcze liczbie ludności naszej — skoro bowiem Polaków jest tutaj blizko 12,000 czyli blizko $^{3}/_{5}$ wszystkich mieszkańców miasta, przeto w reprezentacyi powinno być słusznie 14 rajców polskiej narodowości — lecz ze względu na trójklasowy system wyborczy i inne nieprzyjazne dla sprawy naszej okoliczności, z któremi tutaj borykać się przychodzi, możemy być z tego cośmy osiągnęli zadowoleni.

Mamy teraz w radzie 8 naszych przedstawicieli czyli trzecią część całego grona ojców, których zadaniem jest troska o interesa i dobro miasta. Szczęśliwy ten rezultat zawdzięczamy ugodzie, którą się udało zawrzeć z obywatelami mojżeszowego wyznania. Żydzi dali się nakłonić do kompromisu i poszli z nami, co prawda, nie przez szczególniejszą jakąś ku nam sympatyą. Inne względy nakłoniły ich do podania nam ręki. Ale bądź co bądź należy im się i za ten objaw życzliwości uznanie, gdyż pomogli nam do uratowania honoru polskiego imienia, wsparli nas w usiłowaniach podtrzymywania sławy starej stolicy Kujaw — i umożebnili nam zadanie pewnego szachu tutejszym hakatystom, ktorzy ogłosili, że przez przetak wyborczy nie należy przepuścić ani jednego tubylca.

Chełpliwość i dziwna zawziętość przeciwników doznały przykrego zawodu, a w następstwie tego okażą się w dalszym rozwoju stosunków prawdopodobnie i pochwytne, realne skutki odniesionego sukcesu, które nam i miastu wyjdą na dobre.

* * *

Katedra bez słuchaczów. Pod tym tytułem „Nowoje Wr.“ drukuje następujący artykuł:

„Udało nam się ze źródeł urzędowych wydobyć fakt niezwykle pouczający o stanie sprawy nauczania w cesarskim uniwersytecie warszawskim. W r. 1882, na przedstawienie warszawskiego jenerał-gubernatora Albedyńskiego, na wydziale filologicznym cesarskiego uniwersytetu warszawskiego utworzono zwyczajną katedrę literatury polskiej z pensyą dla profesora, w ilości 3000 rs. Rozumie się, utworzenie tej katedry, jako oddziału filologii słowiańskiej, powinno znaleźć wytłómaczenie w tem, że słuchaczami tego fakultetu będą przeważnie Polacy. Katedra ta istnieje w uniwersytecie warszawskim lat 13, a słuchaczów w ciągu tego czasu było 159, tj. po 13 osób rocznie! z nich zaś rosyan 143 i polaków 16. Cyfry te, zdaje się, nie potrzebują komentarza. Katedra istnieje i teraz, i będzie istnieć dalej, i dalej będziemy polonizować swoich studentów ruskich. W ciągu tych lat 13, z bardzo skromnych środków uniwersytetu, wydano na jedną tylko pensyą profesora 39 tysięcy rubli. Innemi słowami: każdy polak, który uczęszczał na te lekcye, kosztuje skarb rosyjski więcej niż $1^{1}/_{2}$ tyś. rs.! Jest to naturalnie po prostu cyfra komiczna, która dowodzi, że katedra zwyczajna jest zupełnie niepotrzebna“.

Jakim sposobem wykłady literatury polskiej, zwłaszcza, jak w danym wypadku, w języku ruskim prowadzone, mają polonizować studentów-rosyan, to już jest tajemnicą autora powyższego artykułu. Gdyby tak iść śladem jego rozumowań, to należałoby znieść fakultet języków wschodnich w Petersburgu...“

(Kraj).

Z naszej strony dodajemy, że na wykłady literatury Polskiej w uniwersytecie Warszawskim wolno uczęszczać jedynie studentom wydziału filologicznego, a przy obecnym systemie rządowym Polacy oczywiście niechętnie poświęcają się studyom filologii. Zmieńcie politykę szkolną, otwórzcie studentom innych wydziałów wstęp na wykłady literatury polskiej, pozwólcie profesorom literatury w polskim przemawiać języku, a największa z sal uniwersyteckich nie pomieści słuchaczów-Polaków.

* * *

„Gazeta Toruńska“ pisze:

„Akt oskarżenia, wniesiony przez p. Władysława Paruszewskiego z Obudna za pośrednictwem adwokata Fahlego doręczono redaktorowi p. Janowi Brejskiemu w dniu w czorajszym z powodu, że zamieścił on oświadczenie spadkobierców śp. Ignacego Łyskowskiego. Sprawa toczy się „przeciw radzcy zdrowia prof. drowi. Wicherkiewiczowi i wspólnikom“. Tymi wspólnikami są wszyscy zięciowie i wszystkie córki śp. Ignacego Łyskowskiego oraz nasz redaktor czyli razem oskarżonych jest osób dziesięć. Jako świadkowie mają p. Paruszewskiemu służyć znani panowie: „dyrektor owczarstwa“ Niedrowski i niedoszły dziedzic Mileszew p. Starck.

Takie same procesy wytoczył p. Paruszewski spadkobiercom śp. Łyskowskiego i redaktorom kilku innych pism z powodu zamieszczezia w nich owego oświadczenia. Zarobi na tem dobrze Niemiec adwokat i kasa rządowa.“

* * *

„Przyjaciel ludu“, redagowany we Lwowie przez Wysłoucha zamieścił korespondencyę Jana Sila, gospodarza z Grębowa.

W owej korespondencyi skarży się gospodarz Gil, że proboszcz nie chciał go wyspowiadać, odsyłał do dziekana i oświadczył: „Ja ciebie nie wyspowiadam, bo czytasz zakazane pisma“. X. wikary postąpił tak samo i miał przygodnemu korespondentowi „Przyjaciela“ powiedzieć: „Marsz do bożnicy, do rabina.“

Opowiedziawszy tę rzecz, dodaje Jan Gil następujące uwagi:

„Przeciwko owieczkom swoim zwrócili się pasterze, bo jak który Xiądz idzie za ludem, to go przeganiają prawie co miesiąc z parafii na parafią, tak jak mnie za „sprawiedliwość“ przegania Xiądz wikary do rabina, a Xiądz proboszcz do dziekana.... ale jakbym poszedł do dziekana, to on możeby mnie oddalił do Biskupa. Więc zostaję w domu i proszę Pana Boga i matki Boskiej o przemienienie wszelkiego zła w dobro. A wy, szanowni bracia czytelnicy, rozsądźcie, po czyjej stronie sprawiedliwość i doradźcie, jak mam z tem postąpić?“

„Kuryer Poznański“ wypowiada w tej kwestyi następujące uwagi:

Jakież zamieszanie w pojęciach ludu sprawiła robota Wysłouchów, Stojałowskich, Stapińskich, skoro poważny włościanin, ojciec dorosłych dzieci, starzec stojący nad grobem, popieranie pism zabronionych nazywa „sprawiedliwością“, publicznie krytykuje władze duchowną za „przeganianie“ wikaryuszów, uważa za słuszne, aby Xiądz szedł za ludem (a Stapiński zapewne przed ludem), dziwi się temu, iż wikaryusz nie postępuje inaczej niż proboszcz, wreszcie w sprawie czysto kościelnej przypuszczenia do spowiedzi żąda jakiegoś plebiscytu, czy powszechnego głosowania, bo oddaje rzecz pod sąd czytelników „Przyjaciela“.

„Kuryer Lwowski“ z „Przyjacielem“ tego nie zrozumieją, na to nie mamy rady, ale postąpienie proboszcza i wikarego w Grębowie było zupełnie prawidłowe i nacechowane prawdziwą miłością bliźniego, miłością, która nie folguje gwoli spokoju niesprawiedliwionym zachciankom, lecz bez obawy czyni dobrze, choć przewiduje, że bliźni w chwilowem zaślepieniu nie uzna dobrodziejstwa zgniewa się i oburzy. (? ?)

* * *

W sprawie nowej emisyi akcyi Banku ziemskiego pisze „Orędownik“ co następuje:

„Czas pokazał, że istotnie społeczeństwo nasze, jak przy pierwszym tak i przy drugim kapitale zakładowym nie może się zdobyć na kilka set tysięcy marek, chociaż ogólne jest przekonanie i to dobrze uzasadnione, że w takiej instytucyi jak Bank ziemski, lokacya kapitałów byłaby i korzystna i pewna. Kapitały przynoszą dziś wogóle niskie procenta i będą chyba coraz niższe przynosiły, nie wyższe, ale i ten wzgląd przechodzi po naszem społeczeństwie, po jego wyższych warstwach, bez wrażenia.

Ksiądz Piotr.

Szkic

przez **Kazimierza Tetmajera.**

(Rzecz, nagrodzona pierwszą nagrodą na konkursie literackim „Czasu“.)

— Jakiegoś ty herbu, panie Dzięgielewski? — Cykorya?

— Ozorya, do usług księdza kanonika dobrodzieja.

— Aha!... No proszę, ktoby myślał... A napiłbyś się panie Dzięgielewski herbu Ozorya wódki?

— Jak wola księdza kanonika. Czemu nie?

— A jakążbyś waćpan dziś preferował? Anyżówkę, czy kminkówkę?

— A no tak po prawdzie, żeby powiedzieć, to kminkówka, ze względu jako jutro jest wtorek, wydaje mi się racyonalniejsza.

— O! jakimże to górnym stylem przemawiasz! Myślałby kto, żeś z nieboszczykiem Słowackim „Króla Ducha“ komponował. Ale cóż to ma do tego, panie Dzięgielewski, organisto?

Niby co, za pozwoleniem księdza kanonika, ma co do czego mieć?

— Kminkówka do wtorku?

— A no, po prawdzie, żeby powiedzieć, to ona może i nic do niego niema.

— To dlaczegoż wasan powiedziałeś?

— E, kiedy to jegomość to tylko zawsze tak człowieka musztruje.

— Ho! ho! panie Dięgielewski, organisto kłoniecki! Pamiętasz, jakem was maszerować uczył, tu na dziedzińcu przed plebanią, kiedy to się na burzę zabierało? i karabinem machać? Choć, co prawda, tom sam maszerować nigdy nie umiał, bom służył w jeździe i miał pałasz nie karabin. Pamiętasz panie Dzięgielewski, jaki był ze mnie tęgi oficer w pułku ułanów, za księcia Konstantego? Jakiego miałem konia kasztanka, ho! Pamiętasz waść, panie Dzięgielewski?

— Jakże mogę pamiętać, księże kanoniku dobrodzieju, kiedy wtenczas moja matka jeszcze panną bywszy, w Sabańciszkach na jarmarkach tańcowała?

— A prawda, panie Dzięgielewski, że tyś cokolwiek młodszy odemnie. Wieleż to wiosen sobie liczysz?

W metryce mam, jakom się urodził w trzydziestym drugim, z ojca Kaspra Mateusza i Kleofazyi Zaściańskiej, Ozorya Dzięgielewskich, małżonków.

— I od razu miałeś takie żółte wąsy, panie Dzięgielewski, organisto?

— Ou, gdzie zaś! Jakże mogłem wąsy mieć, dopiero z łona matki wyszedłszy?

— A był Rzymianin *dentatus*, co się z zębami urodził, dlaczegożby nie miał być Dzięgielewski „wąsatus“? Czyś ty co gorszego od jakowego poganina, albo co?

- Pewnie, żeśmy od pogan lepsi — jeszcze szlachta...

— A widzisz. A ja się urodziłem w siedmset dziewięćdziesiątym dziewiątym, a teraz mamy ośmset ośmdziesiąty szósty, to ileż mi jeszcze do setki brakuje, panie Dzięgielewski, herbu Cykorya?

— Ozorya, żeby po prawdzie powiedzieć, do usług księdza kanonika dobrodzieja.

— Niech mu będzie. No, wiele?

— Żebyś ksiądz kanonik miał dziewięćdziesiąt, toby brakowało dziewięć.

— A żebym miał sto, toby nie brakowało nic, nieprawda?

— E, kiedy to jegomość musi zaraz człowieka stropić. Jak się zaś od dziesiątki odejmie...

— No, wiele, prędko?

— Ouu, przecież to tak zaraz....

— A niby taki, panie Dzięgielewski, w rachunkach nagły, jak żyd w tańcu. To już ci pomogę. Trzynastka mi brakuje do setki. Wieleż to czyni?

— Właśnie chciałem powiedzieć, na psa urok, ośmdziesiąt siedem.

— Trzynastka, panie Dzięgielewski, trzynastka, feralna cyfra. Ale, jakem szlachcic, jakem Piotr Załański, nie opuszczę Panu Bogu od setki ani dnia, na honor, nie opuszczę. Czym to jeszcze nie krzepki? Zeszłej niedzieli, pamiętasz waść jakem huknął

Bez wrażenia, bo nasze wyższe, zamożniejsze warstwy choćby chciały, to nie mogą wycofać z swych majątków kilku set tysięcy marek — do funduszów obrotowych jakiej bądź instytucyi finansowej.

To nie jest czasem brakiem patryotyzmu, brakiem ducha obywatelskiego, brakiem rozumienia rzeczu publicznej, to jest prosta niemoc finansowa. Wyższe warstwy złożyłyby te krocie na pewno, gdyby je — same posiadały.

Taki zdaje się być istotny stan rzeczy. A z tego wynikałaby dla Banku ziemskiego w konsekwencyi konieczność, żeby odstąpić od wydania nowych akcyi, porzucić wogóle myśl tę i pracować dalej zabiegliwie i sumiennie na podstawie pierwotnego kapitału zakładowego.“

W odniesieniu zaś do projektu podanego w „Dzienniku Poznańskim“, aby za sumę zebraną na fundusz Kościuszkowski i fundusz kardynała Ledóchowskiego zakupić akcye Banku ziemskiego mówi dalej:

„Składki na oba te fundusze wynoszą mniej więcej 15,000 m.; jest to suma, na którąby wogóle taka instytucya jak Bank ziemski, wcale reflektować nie powinna. Jeżeli nie wysokość sumy, to chyba metoda tej rady byłaby polecenia godną. A wtedy metoda mówiłaby: wszystkie składki, jakie społeczeństwo zbiera, lokować w akcyach Banku ziemskiego, a odsetki oddawać na cele, na jakie składki zbierano.

Doszłoby się przy takiej metodzie do większej sumy, ale wtedy wszystko trzebaby oddawać na akcye Banku ziemskiego. Do czegoby to prowadziło! Bank jest bankiem, i mimo jego pewności i stałych jego operacyi może zawsze kiedy dostać się w trudne położenie finansowe, a to rzecz dla funduszów publicznych drażliwa.“



BADANIA NAUKOWE.

Przeciw nauce.

> Jeżeli człowiekowi odbierzesz naukę, to nie zwrócisz mu niewinności dziecinnej, lecz uczynisz z niego dzikie zwierzę i to jedno z najszkodliwszych.
>
> *Arnold Christian Life.*

Od pewnego czasu zaczęto naukę czynić odpowiedzialną za wszystkie klęski trapiące ludzkość. Rozpowszechnianie wiedzy według niektórych obrońców ciemnoty i zastoju, rodzi bezbożność, wywołuje zbrodnicze wybryki anarchistów, zmowy robotników, ba! nawet krachy finansowe i ekonomiczne. „Cherchez la science“ stało się hasłem pisarzy i publicystów pewnego obozu, którzy w każdej klęsce widzą szkodliwy wpływ wiedzy. Ta niechęć ku nauce tak bardzo się rozwielmożniła w ostatnich czasach, że nawet pisarze uczciwi i trzeźwo na rzeczy patrzący tracą równowagę umysłową i dają się unieść ogólnemu prądowi. Ztąd to pochodzą owe śmieszne ankiety: czy nauka wpływa na moralność, czy też nie. Gdyby rządy i ludy usłuchały głosu tych nowoczesnych Omarów toby w Europie pozamykano wszystkie uniwersytety, księgozbiory spalono i ludzi nauki skazano na zagładę. Na szczęście jednak kierownicy naw państwowych nie podzielają obaw obrońców porządku społecznego, u sfer najwyższych rozlegają się głosy potężne, wołające o światło dla najniższych nawet warstw społecznych.

Trudno naprawdę zrozumieć, zkąd powstała ta ślepa nienawiść ku nauce, która tyle usług oddała i oddaje ludzkości! Nie mówiąc już o tem, że nauce zawdzięczamy całą naszą teraźniejszą cywilizacyę, że dzięki zdobyczom nauki, człowiek ze stanu dzikości wzniósł się na te wyżyny, na których usiłuje odgadywać największe tajemnice i prawdy; musimy jeszcze zwrócić uwagę na to, że i nasza teraźniejsza etyka jest w znacznej części wytworem wiedzy a etyka ta, pomimo przeciwnego twierdzenia zwolenników dobrych, starych czasów, o całe niebo stoi wyżej od etyki naszych przodków. Wiedza jest potęgą: znajomość praw elektryczności oszczędza nam czasu, umiejętność pisania oszczędza nam mowy i lokomocyi, znajomość ekonomii domowej oszczędza zbytecznych wydatków, znajomość praw sanitarnych daje nam zdrowie i życie, znajomość praw myślenia oszczędza nam przeciążenie umysłu. Do tych słów Kingsleya musimy jeszcze dodać zdanie Herberta Spencera: „Dla samoobrony naszej, albo dla podtrzymywania życia i zdrowia niezbędną jest wiedza. Ona wskazuje nam sposoby zarabiania na życie, ona daje nam najlepsze rady odnośnie do wychowania naszego potomstwa. Bez wiedzy nie jesteśmy w stanie wytłómaczyć sobie tych warunków życia narodowego, zarówno przeszłego, jak i teraźniejszego, bez których żaden obywatel nie jest w stanie uregulować swojego postępowania. Najdoskonalsze wytwarzanie w dziedzinie sztuki nie może się obejść też bez wiedzy. Badania umysłowe, moralne, religijne — muszą być oparte na badaniach naukowych“.

Korzystając z najnowszej pracy znakomitego przerodnika angielskiego sir Johna Lubbocka pod tytułem: „The use of Life“, przytoczę niektóre ustępy, tyczące się naszego przedmiotu.

Od najdawniejszych czasów istniało pewne uprzedzenie ku nauce, lubo miało ono zupełnie inne źródło, niż obecnie. Bardzo często spotykamy się ze zdaniem, że nauka nie wszystkim jest potrzebną, a najmniej kobietom. Starzy niemcy mawiali, że garderoba jest najlepszą biblioteką dla kobiet, a francuskie przysłowie powiada, że dziewczę należy trzymać albo pomiędzy czterema ewangelistami, albo też pomiędzy czterema ścianami. Niezbyt dawno jeszcze było powszechne mniemanie, że nauka jest zarówno zbyteczną dla biedaków, jak i arystokratów, powinna ona być wyłącznym udziałem księży i mnichów.

Dr. Johnson, jeden z najświatlejszych umysłów swojego czasu, jest najmocniej przekonanym, że gdyby wszyscy uczyli się czytać i pisać, toby zabrakło rąk do pracy. Z biegiem czasu pogląd ten, pod wpływem wymagań rzeczywistości, uległ pewnej zmianie a mianowicie zaczęto dzieci uczyć czytać, pisać i rachować, gdyż znajomości te okazały się niezbędnemi w życiu praktycznem; ostrzegano jednak, aby tych granic nie przekraczać, gdyż nadmiar wiedzy jest bezwzględnie szkodliwym dla zajęć praktycznych i zawodowych; im człowiek ma mniej idej w głowie, z tem większą łatwością będzie zarabiał grube pieniądze. Dziś pogląd ten uległ rdzennej zmianie, kształcimy naszych rzemieślników nie dla tego, aby z nich uczynić dobrych robotników, lecz aby ich wykształcić na dobrych ludzi.

Pomimo tej ogólnej nieufności ku nauce, najznakomitsi przedstawiciele rodu ludzkiego byli absolutnymi zwolennikami wie-

---

z ambony ku panu Karaskowsiemu Bolesławowi z Wólki, co był zasnął w ławce, tak się wzdrygnął, aż mu okulary z nosa spadły. Oho! jeszcze się nie dam. Napiłeś się, panie Dzięgielewski, wódki?

— Jakże, kiedy ksiądz kanonik tylko obiecać raczył?

— No, to wyjmijże karafeczkę z kredensu. A że dziś jest poniedziałek, a jutro wtorek, dwie. Nic tę, tamtą, tak. Na tę intencyę łykniesz sobie naprzód anyżki, potem kminkówki.

— Za łaską księdza kanonika.

— Łyknąłeś?

— Niby tak.

— Teraz drugą.

— Niby już.

— Zakąszże teraz piernik^{a}zkiem. Dobry?

— Hm! hm! Delicye!

— No to idźże teraz, panie Dzięgielewski, do domu, a kłaniaj się pięknie pani Dzięgielewskiej i pannie Anastazyi Paprykowskiej, jej siostrze ciotecznej, a ja sobie tymczasem pacierze poranne odmówię. Bóg z tobą, panie Dzięgielewski, herbu Cykorya.

— Całuję rączki księdza kanonika dobrodzieja. Ozorya!

I pan Dzięgielewski, obtarłszy rękawem płowe, siwiejące, długie wąsy, pocałował księdza kanonika niżej łokcia i wyszedł.

Wówczas staruszek przeżegnał się, złożył ręce na piersiach i począł chodzić po pokoju jednostajnym, wolnym krokiem, szepcąc półgłosem modlitwy, zaś stary gończy Zagraj, śpiący dotychczas pod kanapą, otwarł najprzód jedno oko, potem drugie, wstał, przeciągnął się, ziewnął, i jak to już od lat dawnych zwykł był czynić codziennie, pușcił się krok w krok za swoim panem. Od czasu do czasu staruszek ręką muchy uprzykrzone odganiał, od czasu do czasu kłapał na nie zębami stary Zagraj i tak chodzili obaj aż do śniadania.

W trakcie modlitwy ksiądz Piotr spoglądał niekiedy na ścianę, gdzie wisiały pięknie wypolerowane dubeltówki i tkwiły wielkie, rosochate poroża jeleni, przyglądał się chwilę kwitnącym w doniczkach na oknie hyacyntom i azaleom, albo wybujałym pod oknem malwom i słonecznikom, niekiedy przewiódł mimochodem oczyma po zrównanych w rząd cybuchach i połyskujących piankowych fajkach, lub też nie przerywając szeptu pacierza, przed szafą z książkami się zatrzymał, tę, ową poprawił, i szedł powoli dalej, pies zaś za nim. Na świat też nieraz spojrzał, bo na dziedzińcu uwijali się parobcy w pąsowych kabatach, pan Walenty Mościk, ekonom, krzyczał i komenderował, młode psy rozganiały kurczęta, stary obłaskawiony żóraw, Marcin, żróbki płoszył i indorom się sprzeciwiał. Gwar był i ruch. Dziewki w żółtych i pstrokatych chustkach na głowie, przechodziły, nucąc tęsknie i rozwiodle, pawie roztaczały świetne ogony i puszyły się, wlokąc skrzydła po ziemi, gołębie chmurą zlatywały z nad dachów i wznosiły się nad nie, zataczając wielkie koła.

Na to wszystko padało poranne słońce, bardzo jasne i promieniste, kładło plamy złotawe na ziemi i słało poświetl mieniącą na lipach i brzozach.

Ksiądz Piotr, nie przestając się modlić, patrzył w okno siwy i cichy, z dłoniami zetkniętemi przy ustach, a gdy już ostatnie słowa pacierza wyszeptał, jeszcze znaku krzyża nie kładł, tylko stał przy oknie długo i patrzył. I potem znak krzyża na własnych naprzód ramionach uczyniwszy, kreślił go w powietrzu, błogosławiąc z swego pokoju kłonickim łanom, lasom i wodom rybnym i ludziom w polu robiącym i trzodom co się po łąkach pasły.

Tak było często.

Wypiwszy kawę, ksiądz Piotr zapalał piękną fajkę piankową na długim, wiśniowym cybuchu, z dużym, kosztownym bursztynem, dar nieboszczyka kolatora pana marszałka, i pociągnąwszy kilkanaście razy, pochylał się w tył fotelu i zaczynał drzemać, przyczem zwykle coś mu się śnić musiało, pomrukiwał bowiem: ho! ho! i poruszał wskazującym palcem prawej ręki, co czynił zawsze, ile razy opowiadał z zajęciem, lub dawne czasy wspominał.

Miało mu się też co marzyć! Dzieciństwo naprawdę „sielskie anielskie“ w Załanach; służba pod księciem Konstantym, rewolucya listopadowa, kilka lat emigracyi, długa wędrówka, wreszcie kilkadziesiąt lat służby bożej, twardej i pełnionej po żołniersku, bez folgi, po rozkazie...

dzy. „Ze wszystkich skarbów — powiada Histopades — wiedza jest najdroższą, gdyż jej nikt ci nie ukradnie, nikomu nie jesteś w stanie jej darować, ani też zużyć“. „Wykształcenie — powiada Platon — jest najcudowniejszą rzeczą, jaką człowiek posiadać może“. Montaigne twierdzi, że ciemnota jest matką złego. Nauka — powiada Fuller — jest najhojniejszą jałmużną, jaką człowiek swojemu bliźniemu dać może. Pouvoir sans savoir est fort dangereux — powiada pewien moralista francuzki. Petrarka zapewnia nas, że w życiu swojem o nic tak nie dbał, jak o nabycie wiedzy. Shakespeare, kładąc w usta lorda Saya słowa:

Ignorance is the curse of God
Knowledge the wing wherewith we fly to heaven.
(Ciemnota jest przekleństwem niebios
Wiedza skrzydłami, za pomocą których wznosimy się ku Bogu)

wyraża prawdopodobnie swój własny pogląd. Salomon w swoich przypowieściach temi słowy wychwala naukę:

Błogosławiony mąż, który znalazł mądrość i który obfituje w roztropność. Lepsze jest nabycie jej, niźli kupno srebra i złota, droższą jest ona niż rubiny. Długie życie na jej prawicy i na lewicy są bogactwo i sława. Drogi jej są przepiękne i na nich panuje wieczny spokój.

„Wiedza — powiada lord Beaconsfield — jest ową mistyczną drabiną we śnie patryarchy Jakóba. Podstawa jej spoczywa na ziemi, szczyt zaś gubi się w niezbadanych przestrzeniach niebios; wielcy pisarze, którzy w ciągu długich wieków podtrzymywali ciągłość wiedzy, filozofii i poezyi, są owemi aniołami, wstępującymi i zstępującymi po świętej drabinie, którzy utrzymują niejako łączność pomiędzy ziemią i niebem“.

Twierdzenie, jakoby nauka nie miała żadnego wpływu na moralność, upada wobec prawdziwych danych statystycznych.

Już Wiktor Hugo powiedział, że kto otwiera szkołę, ten zamyka więzienie. Słowa te znajdują potwierdzenie w rezultatach, otrzymanych w Anglii. W r. 1870 przeszedł w parlamencie „the Education-Act“, wprowadzający przymusowe nauczanie. Do tego czasu liczba dzieci, uczęszczających do szkół elementarnych, wynosiła 1,400,000, obecnie liczba ta wynosi około 5,000,000. Przyjrzyjmy się skutkom tej reformy. Do r. 1887 liczba więźniów stale wzrastała i wynosiła przeciętnie około 20,800 rocznie. Odtąd począwszy, zaczęła ona stale się zmniejszać i wynosi obecnie, według danych urzędowych, tylko 13,000, pomimo, że ludność Wielkiej Brytanii znacznie się powiększyła. Gdyby liczba przestępców wzrastała proporcyonalnie do wzrostu ludności, to musiałaby ona wynosić 28,000, t. j. musiałaby być przeszło dwa razy większą, niż jest w rzeczywistości. Wydatek na policyę i więzienia wzrósłby wtedy do wysokości 8,000,000 funtów sztrl., gdy w rzeczywistości wynosi tylko 4,000,000 funtów. Jeszcze zbawienniej objawia się wpływ przymusowego wychowania na liczbę małoletnich przestępców. W r. 1856 liczba ta wynosiła 14,000, w r. 1866—10,000, w r. 1876—7,000, w r. 1881—6,000, obecnie zaś wynosi tylko 5,100. Zwracając się teraz do statystyki podatku na biednych, znajdujemy rezultaty niezmiernie ciekawe. W r. 1870 stosunek biednych, korzystających ze wsparcia publicznego i ogółu ludności wynosił 0,047, obecnie zaś wynosi zaledwie 0,022 i dodać musimy, że w większych miastach stosunek ten jeszcze jest mniejszym. Roczny podatek na biednych wynosi obecnie 8,000,000 funtów szt., gdyby zaś utrzymał się dawniejszy stosunek, to wydatek ten stanowiłby sumę aż 16,000,000 f. szt. Tak więc w ciągu dwudziestu kilku lat Anglia zaoszczędziła na policyi 4,000,000 f. szt., na podatku zaś dla biednych 8,000,000. Co więcej, statystyka ciężkich przestępstw wykazuje znaczne umoralnienie. Tak np. czytamy że w r. 1864 liczba skazanych na ciężkie roboty wynosiła 2,800, gdy obecnie wynosi zaledwie 729, pomimo, że ludność Anglii znacznie wzrosła. Dla wskazania ścisłego związku, zachodzącego pomiędzy zbrodnią i ciemnotą, przytoczę, że z ogólnej liczby 157,000 przestępców, skazanych na więzienie, tylko 5,000 umiało czytać i pisać, a tylko 250 mogło rościć sobie pretensyę do miana ludzi wykształconych (cyfry odnoszące się do przestępców, zaczerpnięte są z „Rep. of the Dir. of Convict Prisons“; 1893). Wiem doskonale, że to moralne uzdrowienie Anglii nie jest wyłącznym wynikiem wpływu szkoły, gdyż i inne jeszcze czynniki wpłynęły na tę poprawę; zastanawiając się jednak bliżej nad tą kwestyą widzimy, że wpływ szkoły musi być przeważającym. Szkoła bowiem nietylko umoralnia dziatwę, udzielając jej nauki, przyzwyczajając do porządku i czystości, rozwijając w niej poczucie obowiązku, lecz jeszcze więcej przyczynia się do jej poprawy, usuwając od niej zły wpływ ulicy i zaraźliwy przykład otoczenia. Jeżeli jednak w innych krajach wpływ szkoły nie był tak zbawiennym, jak w Anglii, to przyczyny tego zjawiska szukać należy gdzieindziej. Należy bowiem zaakcentować, że sama nauka czytania i pisania, reguł arytmetyki i gramatyki, same przez się nie są w stanie sprowadzić tych błogich skutków, których od szkoły się spodziewamy. Zadanie bowiem wychowawcy nie polega na tem, aby nauczyć dzieci różnych prawideł, lecz powinien on dążyć do tego, aby dopomódz rozwijającej się inteligencyi, dodać jej bodźca w chwilach trudnych, natchnąć duszę nadzieją i uśpione lub w zarodku będące zdolności doprowadzić do pełnego rozwoju. Wychowanie nie powinno mieć na celu dostarczania prawników, doktorów, inżynierów, nauczycieli lub artystów, lecz powinno ono dążyć do rozwijania człowieka. To wychowanie — powiada Milton — nazywam szlachetnem i zupełnem, które obdarza człowieka zdolnością wykonywania szlachetnie, uczciwie, dobrotliwie, sprawiedliwie i ze znajomością rzeczy wszystkich obowiązków obywatelskich, zarówno prywatnych, jak i publicznych, zarówno w pokoju, jak i na wojnie. Już król Salomon w swoich przypowieściach wymownemi słowy kreśli nam obraz prawdziwego wychowania:

Dla poznania mądrości i wykształcenia,
Dla zrozumienia słów rozumu,
Dla przejęcia się przykazaniami wiedzy,
Sądu i słuszności,
Dla nadania przenikliwości prostaczkowi,
Młodzieńcowi wiedzy i przezorności.

Francuzkie przysłowie powiada: „Si jeunesse savait, si vieillesse pouvait“. Otóż dobre wychowanie urzeczywistni oba te warunki, ono bowiem obdarza nas wiedzą w młodości i siłą w starości.

Łatwo pojąć, że urzeczywistnienie takiego ideału wychowania należy do krainy

---

Księdzem nie został ten niegdyś świetny rotmistrz ułański z powołania; przyznawał się do tego otwarcie. — Ja — mówił nieraz — urodziłem się, kochanku, na księdza, jak moja dziewka Wikta, co korzec ziemniaków na plecy bierze, na baletnicę. Byłem młody, przystojny, ho! ho! nie biedny, a do tego żywy, lekkomyślny, pusty, ot szlachcic polski i do tego kawalerzysta. Alem poznał, kochanku, w czemeśmy zawinili. Ja, kiedy mi mój luzak, Sobek, chłopak z Załan, szabli niedopolerował, albo butów na czas nie przyniósł, buch go w pysk! Mój ojciec, mój dziad, mój pradziad, wszyscy Załańscy za takie same i podobne rzeczy swoich Sobków buch w pysk! Dla tego mi mój chłopak przed pierwszą bitwą uciekł, dla tego żaden chłop z Załan do Kościuszki nie poszedł, dla tego w czterdziestym szóstym mego brata stryjecznego jego własny lokaj za nogę z konia ściągnął, a potem go chłopi tak zsiekli, że go poznać nie można było. Ja poszedłem robić ekspiacyę za siebie i za innych Załańskich, poszedłem kochanku służyć tym, względem których czułem się winny, a przez którą to winę czułem się winny wobec całej ojczyzny. Bo gdybyśmy byli wszyscy w pole wyszli, Jezus Marya! ho! ho! A czy ty myślisz kochanku, że mnie było łatwo rzucić wszystko, cały świat, który mi się śmiał, sutannę oblec, na wieś iść, dzieci chłopskie chrzcić i szczerbate baby spowiadać? Nieraz myślałem, że nie wytrzymam, kochanku. Jeszcze, jak węgierska wojna wybuchła, o małom sutanny na kołku nie zawiesił i za Karpaty nie ruszył. Ale powiedziałem sobie; zameldowałeś się Bogu do służby, służ! A służba Boża twarda rzecz i On nie żartuje. Kiedy dobry, to dobry, ale jak się rozsierdzi, wszyscy w kąt, nawet Michał Archanioł, choć to wielki wojownik i djabłu skórę wyprał, stronami tylko szablą pobrzękuje, a przed Panem Bogiem tak ją cicho w garści niesie, jakby po cesarskich pokojach stąpał. A cóż dopiero marny człowiek, choćby nawet kanonik. Ho! ho! Ale potem jużbym za skarby świata mojej sutanny nie zwlókł i mojej parafii nie opuścił. Com z początku, kochanku, jako pokutę, jako ekspiacyę podjął, żebym ja pan z panów i oficer kawaleryjski między proste chłopstwo schodził, życie mu moje, moje dni i noce w ofierze niósł, tom się w tem potem rozmiłował. Myślałem sobie: co ja tu jednę duszę w tych Kłonicach polską zrobię, tośmy bliżsi zmartwychwstania. A potem rozmiłowałem się w rzeczach boskich i zacząłem te dusze nietylko polskiemi, ale i boskiemi robić. I myślałem sobie znowu: co ja tu jednę duszę kłonicką Bogu przysposobię, to On tam, sędzia sprawiedliwy i miłosierny Załańskim choć po roku jednym pokuty czyścowej odpuści. A potem przez miłość Boga zacząłem i ludzkość szeroką miłować i tę miłość w kłonickie dusze szczepić... I powiedz mi, możeż być co piękniejszego na ziemi, jak dusze Bogu, ojczyźnie i ludzkości skarbić? A te kłonickie dusze, one są gliniaste i kamieniste, ale w nich i czarnoziem jest, one nie są złe, one są nawet często dobre. Tylko one są bardzo trudne i trzeba je, kochanku, bardzo kochać i bardzo im pobłażać i ludzkość im świadczyć. Żebym ja był mojego Sobka mniej bił w pysk, a więcej do niego mówił, nie byłby mi on przed pierwszą batalią powiedział: „a mnie wciornaści do tego“ i uciekł, gdzie pieprz rośnie. I widzisz, mogę śmiało, kochanku, powiedzieć, że do czegom się zameldował, tom spełnił; byłem, śmiało mogę powiedzieć, dobrym księdzem, dobrym duszpasterzem. A żebyś mi to prorokował był tak lat temu sześćdziesiąt, kiedym ja dla panny Jadwigi Karśnickiej siwą klacz turecką ujeżdżał, a potem ją na tej samej klaczy wykradł, Panie odpuść, dla mego przyjąciela, Hilarka Roszczewskiego, że mnie w sutannie do trumny będą kładli, kiedy ja myślałem w jeneralskich szlifach na dolinę Józefata iść... ho! ho! Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi... Ho! ho! Niema tam gdzie Pana Dzięgielewskiego?

(Ciąg dalszy nastąpi.)



marzeń; ani programatami, ani systematami nie daje się ono przeprowadzić, do tego bowiem potrzebni są idealni nauczyciele, których żaden kraj obecnie nie posiada. Pozostaje nam tylko dążenie do tego upragnionego celu, do tej wymarzonej szkoły. Dotychczas pomimo usiłowań mężów stanu i uczonych pedagogów — celu nie osięgnięto. Proponowane systematy szkolne znacznie odskakują od ideału, najlepiej jednak, według mnie, zadanie praktycznej szkoły scharakteryzował prof. Huxley. Znakomity ten uczony powiada, że należy dzieciom dać takie wychowanie, aby przeciętnych zdolności chłopiec piętnasto lub szesnastoletni był w stanie poprawnie i z łatwością pisać we własnym języku, dokładnie zrozumieć pisarzy ojczystych i ocenić piękność ich utworów, mieć jasne pojęcie o dziejach własnego kraju i ogólnych prawach rządzących życiem społeczeństw, znać przytem główne podstawowe zasady nauk fizycznych i psychologicznych jako też arytmetyki i geometryi. Zasady logiki powinny mu być udzielane na przykładach a nie drogą teoretyczną; nabycie zaś elementów muzyki i rysunków powinny dla niego stanowić raczej przyjemność, niż pracę. Możemy śmiało twierdzić, że gdy taki system wychowania zostanie uczciwie przeprowadzonym, wtedy będziemy na najlepszej drodze ku moralnemu uzdrowieniu ludzkości.

dr. Karol Hertz.



LITERATURA I SZTUKA.

Nad jeziorem.

Srebrem przetkana, skroś się migocąca
Na senną ziemię cicha noc się kłoni, —
Ćmiąc raz po razie jasną twarz miesiąca
Chmur białych stado mknie po świetlnej toni.

I cisza wszędy, jak zajrzeć dokoła,
Milczy snem zdjęte jeziora przestworze,
Śpią sine wzgórza, w mgły spowiwszy czoła,
Drzemie pobrzeże odbite w jeziorze.

Czasem nad tonią zwieszone tumany
Milczące z sobą korowody wiodą,
Czasem się dreszczem wstrzęsie szlak świetlany —
I znowu cisza ponad senną wodą;

Czasem się cicho ze skrzącej posowy
Zerwie skra jedna i szybko w dół stoczy,
Czasem się łyśnie ponad wzgórza głowy —
I znowu spokój śród bladych przezroczy;

Czasem się brzeżne trzciny zakołyszą,
Czasem coś nagle z oddali zawoła,
Czasem się dreszcze jakieś pomkną ciszą —
I znowu głuche milczenie dokoła. — — —

Tam coś się zbliża: — Skroś sinej poświaty
Ku snem zmorzonej podąża głębinie
Postać kobieca. — W księżycu jej szaty
Lśnią a łyskają. — W świetle płynie, płynie... —

Cicha stanęła: — Tuż nad skrajem toni
Jak blade widmo pod księżyc się bieli
I zwolna, zwolna ku głębiom się kłoni,
Niżej i niżej nurzy się w topieli.

Wstrząsły się wody: — Po gładkiej przestrzeni
Pędem się fala coraz toczy nowa,
W drgającej toni coś biało się mieni,
To silniej błyśnie, to znowu się chowa.

Znikło: — Już cichną, już gładzą się fale!
Ostatnie koło gdzieś w dali przepadło,
Znów szlak świetlany drży na wód krysztale,
Znów jako przedtem gładkie wód zwierciadło.

I cisza wszędy, jak zajrzeć dokoła,
Milczy snem zdjęte jeziora przestworze,
Śpią sine wzgórza, w mgły spowiwszy czoła,
Drzemie pobrzeże odbite w jeziorze.

Czasem nad wodą zwieszone tumany
Milczące z sobą korowody wiodą,
Czasem się dreszczem wstrzęsie szlak świetlany,
I znowu cisza ponad senną wodą;

Czasem się cicho ze skrzącej posowy
Zerwie skra jedna i szybko w dół stoczy,
Czasem coś łyśnie ponad wzgórza głowy,
I znowu spokój wśród świetlnych przezroczy,

Czasem się brzeżne trzciny zakołyszą,
Czasem coś nagle z oddali zawoła,
Czasem się dreszcze jakieś pomkną ciszą
I znowu głuche milczenie dokoła.

1.4. 95. *Zygmun Bytkowski.*



Aleksander Dumas.

Aleksander Dumas był synem sławnego romansopisarza tegoż imienia, którego powieści należały do najpoczytniejszych utworów współczesnych, a dramaty dziś już zapomniane, niegdyś powodzeniem cieszyły się na scenach francuzkich.

Zmarły Aleksander Dumas urodził się w Paryżu 1824. Pierwsze nauki pobierał w Collège Bourbon, gdzie się odznaczał zdolnościami. — Wychowaniem jego początkowem zajmowała się babka, generałowa Dumas, gdyż ojciec, wówczas sekretarz ks. Orleańskiego, nie mógł starczyć na jego utrzymanie.

Po ukończeniu nauk rzucił się w wir światowego życia, w którem towarzyszem i przewodnikiem był mu ojciec. — Dla obu, tj. ojca i syna skutki były jednakie — zabrnęli w długi. Dumas ojciec, jak zwykle w podobnych okolicznościach schronił się do Belgii, by uniknąć więzienia i pisaniem romansów zdobyć środki do pozbycia się kłopotów. Syn wstąpił w jego ślady i wówczas napisał swą „Damę kameliową“ — która mu rozgłos zjednała. Kilka następnych powieści pozwoliło mu nietylko uregulować interesa lecz zdobyć niezależność materyalną. W r. 1852 „Damę Kameliową“ wystawiono na scenie. Następnie przerabiał na scenę inne swe powieści wreszcie od roku 1855 zaczął pisać samodzielne dramaty i komedye. — Największy rozgłos zdobyły „Le Fils naturel“, „Le père prodique“ — i „Le demi monde“.

Po wojnie 1870 r. usunął się Dumas na jakiś czas do zacisza prywatnego życia, lecz potem powrócił znów do pracy literackiej. Ze sztuk późniejszych więcej znane u nas są „Księża Jerzowa“, Sprawa Clemenceau“, „Dyoniza“ i „Francillon“.

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

I.

Od czasu jak pan Kajetan Borajski wybudował obok pracowni drugą kamieniczkę i powtórnie się ożenił, zaszła w jego życiu i usposobieniu wielka odmiana.

Dawniej — bywało — walił sam od świtania do zmierzchu przez cały tydzień młotem w kowadło, aż pot lał się z czoła i rzeźbił jaśniejsze rowki na skroniach pyłem węglanym osmolonych: po pracy przesiadywał wieczorami w domu, huśtając na kolanach małą Lolę, żartując ze świętej pamięci pierwszą żoną, lub obliczając dzienny zarobek, którego część zapobiegliwa matka Karolina zanosiła nazajutrz podczas kupna do kasy oszczędności. Miał wówczas czarne ręce, przedni apetyt, wesołość niezwykłą w sercu, niezmordowaną chęć do pracy — natomiast nie miał dwóch domów murowanych, młodej żony, dorastającej córki, sześciu pomocników w warsztacie i prawej ręki w osobie Franciszka Smolarza, który prowadzi mu dziś pracownię lepiej, niżby on to sam potrafił, gdyby mu się oczywiście prowadzić ją chciało.

Czasy się zmieniają.

Jeszcze przed śmiercią ś. p. Karoliny wpadł kołodziej Bezroba, sąsiad i przyjaciel Borajskiego, na pomysł wyrabiania nowych wózków węgierskich, lekkich i zgrabnych. Wózki bardzo się podobały w okolicy na jarmarkach — a nietylko w okolicy, wszędzie, w całym świecie. Nie minęło i pięć lat, a już pracy wydołać nie można było. Zdarzyło się nawet, że do tygodnia dwa i trzy zamówienia przychodziły pocztą i to ze stron o dwadzieścia mil od Kołczanowa oddalonych. A że dobre okucie przy wózku prawie tyle znaczy co pomysł lub robota kołodziejska, więc też pani Karolina coraz częściej musiała zabiegać do kasy oszczędności, aż wreszcie umęczona, odeszła, aby wypocząć.

W jakiś czas potem, gdy i pomysłowy Bezroba pożegnał ten świat, wskutek czego wózków do okuwania brakło, postarał się Borajski o robotę przy budowie kolei. Tu dopiero poszczęściło mu się naprawdę. W niespełna dwa lata wznosił już na swoim ogrodzie przy ulicy Głębokiej, w niepośledniem mieście Kołczanowie, drugi domek murowany z ganeczkiem, oszklonym na froncie i kamiennemi schodkami po obu bokach.

Gdy się to wszystko za wolą Bożą dzięki dobrym chęciom, głowie na karku i niespożytej sile fizycznej stało, zauważył Kajetan Borajski, że po nad kowalstwo i ślusarstwo są inne czynności na świecie, do których ludzie tego co on rodzaju bywają niekiedy powoływani. Ot, naprzykład sąsiad Szołomiejski, choć nie ma takiego, jak on mienia, już od lat wielu zasiada w radzie miejskiej i tak tam nieraz mądrze rozprawia, że na drugi dzień mówią sąsiedzi i znajomi o nim u Bronarza przy kufelku, kiwając głowami.

A o nim kto kiedy w podobny sposób wspomina?

Raniecki należy tam także do rady miejskiej, Szeląg także, zacny Bezroba należał też... no, i wielu innych,

W ogóle znudziła się już Borajskiemu piękna, rozszerzona i udoskonalona ostatnimi czasy pracownia. Zapragnął innego życia, a pragnienie to zaspokoił na razie w ten sposób, że powierzywszy kierownictwo warsztatu najzdolniejszemu z czeladników, choć młodemu jeszcze wiekiem Smolarzowi, mało się już nim począł zajmować, natomiast co wieczora ubrany w nową popielatą kapotę z czarnemi pętlicami, zgrabne buty i czapkę barankową, kroczył wesoło do piwiarni Bronarza na kilka kufli pilzneńskiego i na pogawędkę z przyjacióły, która się nieraz przeciągała aż do ukazania się kokoszki na niebie.

Te ciasne wprawdzie, lecz liczne pokoiki u Bronarza, gromadziły w sobie wieczorami cały świat inteligencyi mieszczańskiej miasta Kołczanowa. Zaglądał tu także od czasu do czasu burmistrz Babielecki, a nawet oficerowie i urzędnicy. Dla tych panów miał sprytny ormianin osobne dwa po-

Mimo znakomitej formy scenicznej jego utworów, w temperamencie jego przeważał nie artystyczny lecz publicystyczny żywioł. Każda ze sztuk jego miała jako podkład jakąś tezę społeczną, której dowodził w scenach pełnych życia, realistycznych, zręcznie ułożonych, skrzących dowcipem i talentem lecz przeplecionych dość wyraźnie rozumowaniem. Rozumowanie to, często paradoksalne odnosiło się przeważnie do komplikacyi stosunku między kobietą a mężczyzną. Kwestya rehabilitacyi kobiety upadłej jak w „Damie kameliowej" i „Dyonizie", niewiary małżeńskiej jak w „Francillon", „Sprawie Clémenceau", „Księżnie Jerzowej", praw dzieci naturalnych jak w „Synu naturalnym" — zajmowały przeważnie jego umysł i były treścią jego utworów.

Tematy te, jak wiadomo, niezmiernie rozwielmożniły się w literaturze francuskiej, za co wreszcie odpowiedzialność nie na samego spada Dumasa. Na dnie paradoksów jego zresztą tu i owdzie kryje się zdrowe ziarno prawdy, które pozostanie jego w literaturze zasługą. Bezwzględne potępienie wiarołomstwa mężatki, dochodzące aż do znanego a krańcowego wykrzykniku „Tue la!" nie pozostało bez wpływu na opinią publiczną, wpływu o tyle szkodliwego, że wywołało liczne a gorszące uniewinnianie morderców kobiet przez sądy paryzkie. — Z drugiej strony surowość dla mężatek obok wyrozumiałości dla kobiet wolnych, przebaczenia dla ich jednorazowego błędu okupionego pokutą, lub zasługą, — życiem cnotliwem i bez zarzutu, choć niekiedy dochodziło do krańcowości miało pewnego rodzaju słuszną etyczną podstawę. —

Utwory Dumasa, choć do ostatniej chwili na scenie, trzymały się siłą jego oryginalnego talentu, należą do rodzaju, który się już przeżył i schodzi z pola. — Jeżeli „Dama Kameliowa" długo jeszcze figurować będzie w repertuarach teatrów, to głównie dzięki roli głównej, dającej znakomite pole popisu artystkom utalentowanym. —

W 1874 roku Dumas przyjęty został do grona „nieśmiertelnych" Akademii francuzkiej.

Pod koniec życia dnia 27. czerwca ożenił się z młodziutką, bo zaledwie 20-letnią panną Regnier de la Bruyère. —

Umysł Duma-a nie starzał się do ostatniej chwili. — Poglądy swoje radykalne łączył z miłością bliźniego, litością dla uciśnionych, młodzieńczą wiarą w postęp i optymizmem w odniesieniu do przyszłości. Oto co pisze w liście otwartym ogłoszonym na rok przed śmiercią:

„To zbrojenie się wszystkich ludów — pisze w nim — te groźby, które ich naczelnicy wzajemnie sobie rzucają, to wznowienie prześladowań niektórych narodów, to wrogie usposobienie wśród obywateli jednego kraju, wreszcie te dziecinne bajania na katedrach uniwersyteckich, to są wszystko oznaki złego pozoru, ale nie złego znaczenia. To są ostatnie drgania tego, co zniknąć musi. Chorobą jest w tym wypadku tylko energiczne wytężenie organizmu, aby się uwolnić od przyczyn konania. Ci, co zyski ciągną z błędów przeszłości i długo jeszcze a nawet zawsze spodziewają się te zyski ciągnąć, jednoczą się w zamiarze przeszkodzenia owym zmianom. Ztąd te zbrojenia się, te groźby, te prześladowania, ale skoro z uwagą spojrzymy w około, spostrzeżemy, że to wszystko pozory. Wszystko to jest olbrzymie a przecież marne. We wszystkiem tem nie ma już duszy, która dokąd indziej uleciała. Wszystkie te miljony uzbrojonych, które dzień w dzień ćwiczą się do powszechnej, niszczącej wojny, wcale nie czują nienawiści ku tym, z którymi mają walczyć, a żaden z ich przewódzców nie śmie wypowiedzieć wojny. Co się tyczy zaś skarg, które od dołu się podnoszą, to poczynają im wtórować od góry okrzyki, uznające ich słuszność i wyrażające wielkie a szczere współczucie. Wzajemne porozumienie się niewątpliwie dokona się w pewnej chwili i bliższem jest niż się spodziewamy. Nie wiem, czy to ztąd pochodzi, że wkrótce opuszczę już ten świat i że światło, wydobywające się z poza horyzontu i mnie oświetlające, wzrok mi zaćmiewa, ale wiem że świat nasz wstępuje w epokę, która urzeczywistni słowa „kochajcie się wzajem".

„Prąd spiritualistyczny, widoczny wszędzie, za którego kierowników ma się wielu próżnych ludzi bez kwestji przybiera żywotne kształty. Ludzie, którzy w niczem miary nie mają, będą ogarnieni formalną manią, szałem kochania się wzajemnie. To zrazu nie pójdzie zupełnie gładko; będą nieporozumienia, niewątpliwie nawet krwawe, gdyż zbyt przywykliśmy wzajemnie się nienawidzić i zbyt nas tego uczyli i to nawet ludzie, którzyby raczej powołani byli uczyć nas miłości. Ale ponieważ to jest oczywistem, że to wielkie prawo braterstwa raz kiedyś musi być spełnionem, więc jestem przekonany, że przyjdzie czas, w którym uczujemy nieprzeparte pragnienie, aby się to spełniło".



Rzeczpospolita Babińska.

Sporo uczonych i literatów poświęcało swe pióro Babinowi. Obecnie „Ateneum" umieściło w trzech zeszytach obszerną i pracowitą jego monografię pióra p. Kazimierza Bartoszewicza. Autor rozpoczął od literatury, tyczącej się Babina, wykazując jak powoli rosła humorystyczna rzeczpospolita u potomnych w znaczeniu i powadze, lubo jedynem i to zdradliwem źródłem do jej dziejów był opis w „Annales" Sarnickiego. I obcy na podstawie ustępu w Sarnickim rozszerzali sławę Babina. Na początku b. wieku odnaleziono akta rzeczypospolitej z drugiej epoki (1601—1670); podał o nich wiadomość pobieżną ks. Szaniawski. Mickiewicz w swych prelekcjach mówił o wysokim stanowisku Babina, Matejko ofiarował genjalny swój pendzel wskrzeszeniu plastycznemu jego przeszłości. Wprawdzie byli tacy, co podejrzywali wielkość Babina, a przeglądający jego akta Stanisław hr. Tarnowski, doznał „rozczarowania". Dopiero wydanie tych aktów przez dra. Windakiewicza stało się kluczem do poznania rzeczypospolitej. P. Bartoszewicz wyciągnął z nich najwięcej dowcipne i charakterystyczne zapiski, a rozebrawszy jakość ich wszystkich w stosunku do ilości, wyraża bardzo niepochlebne zdanie o drugiej epoce Babina, z której akta pochodzą. Humoru było w nich tak mało, że zaledwie na lat parę, a nawet kilka, przypada jedna rzeczywiście dowcipna anegdota.

---

koje na piętrze, ażeby nie mieszać, jak mawiał „śledzi z sardelkami", ale i „śledzie" miały swoje uprzywilejowane apartamenta, do których pośledni kiełbik tylko przez drzwi z zawiścią zazierał.

Tu, u Bronarza omawiano wszelkie sprawy miejskie, układano listy kandydatów na przyszłą kadencyę, głosowano na burmistrza przez podnoszenie kufli do góry... tu pękały butelki starego węgrzyna na zgodę przyjaciół zwaśnionych, podczas burzliwej przymówki na posiedzeniu rady, tu (w pokojach kiełbików) lała się wódka strumieniem i znikały kiełbas salatery podczas samych już wyborów... Tu wreszcie w sezonie martwym ojcowie miasta swatali swoje dziatki płci obojga.. sprzeczali się, jednali, ogadywali po za oczy,.. Tu też niejeden z ojców przespał się wygodnie do ranka na żłóbkowatej ławie, a gdy ta z powodu zbyt szerokich barków była mu jeszcze za wąską mógł zejść o jeden stopień niżej.

Rozsmakował się nasz pan Kajetan w wieczorach u Bronarza, zwłaszcza od czasu jak zasiedział parafią przy stole, którego innymi parafianami byli Szeląg, Wywrot, Raniecki, Konstanty Klepka a po części także i Szołomiejski, który jednak, będąc po uszy zagrzebanym w dziennikach i kując politykę zagraniczną jak we dnie tak wieczorami, nie zbyt często do Bronarza zaglądał-

Ale też gdy przyszedł, wówczas na pewno musiała być uciecha i komedya taka, że i na scenie w teatrze lepszej nie usłyszysz.

Ten mały, gruby, nieco ospowaty Raniecki przeklęty miał język i on to zwyczajnie uciechę taką wywoływał. Nie mówił on nigdy zwyczajnym ludzkim głosem, jeno rzucał prędko słowo po słowie, przez co stawał się czasem podobnym do psa podwórzowego, który gestem a radosnem szczekaniem daje przed wieczorem znać gospodarzowi, że już czas by go wypuścił z łańcucha na wolność. Oczy miał przytem czarne jak u kreta, mało ruchliwe, niby czołenko tkackie. Zaczepiwszy kogo, zrazu nie unosił się wcale, dopiero gdy nadokuczał, nawymyślał po swojemu, gdy doprowadził przeciwnika do ostatniej złości, wówczas dopiero sam się zaczerwienił, zaindyczył i zdawało się, że już, już chwyci tamtego za łeb — w tem hultaj macha niby lis ogonem i śmieje się po przyjacielsku i podaje rękę i woła chłopaka, żeby podał „kółko".

Oczywiście, że flegmatyczny, poważny, trochę przeuczony Szołomiejski, mówiący rozciągle, patrzący przez swe duże okulary na Ranieckiego jak na malowane wrota, był najlepszym dla niego celem.

Borajski, aczkolwiek wiele zaznawał przyjemności u Bronarza, miał przecież z tego powodu pewną troskę i wyrzuty sumienia.

Gdy on się tu dobrze bawił, śmiał i weselił, w domu w pustych, urządzonych zbytkownie pokojach, przesiadywała piętnastoletnia Lola sama, zdana na opiekę kucharki i towarzystwo myszy, którą nauczyła przybiegać do swych bucików za okruszynkami chleba.

Lolę kochał bardzo, bo ładna była, hoża, rumiana i dobra.

— Żal mi dziewczęcia, nudzi się sama w domu — rzekł raz mimochodem w gronie swoich parafian stolikowych.

A było to mniejwięcej przed trzema laty.

— To ją wydajcie, sąsiedzie, zamąż i będzie spokój — zauważył na to Wywrot.

— Kiedyż bo jeszcze za młoda, ma piętnaście lat dopiero — odparł z troską na czole Borajski.

— Ha, trudno — mruknął Szeląg.

Obok siedzący, głupi Klepka, zaczął się śmiać głośno.

Klepka ten miał głowę jak dynia dużą i twarz czerwoną; nie mówił prawie nigdy, natomiast dusił się od śmiechu bez przerwy. Stanowczo był głupszy od swych towarzyszy.

A w tem zabrał głos stary Szeląg:

— Ot, ojcze Borajski, jabym wam coś przecie mądrego powiedział, żebyście się tylko nie gniewali — tu spuścił wzrok na szklankę i począł ocierać pianę z obwódki.

— No, no, no... tylko śmiało — zachęcił go pan Kajetan.

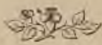
— Hm, ale gniewać się nie będziecie?

— Jak Bóg na niebie, że nie!

— A więc dobrze. Otóż powiedziałbym wam: zamiast wydawać Lolę za mąż,

Mylnem jest przekonanie, jakoby Babin w drugiej epoce gromadził w swych ścianach ludzi najwybitniejszych i był ogniskiem życia towarzyskiego, jeżeli nie kraju, to całej prowincji. Humor jego polegał na mizernem, podziw swą naiwnością wzbudzającem kłamstwie. Wychylanie kielichów było głównem zadaniem urzędników rzeczypospolitej. Pszonkowie, właściciele Babina i burggrabiowie rzeczypospolitej, biorąc udział w rokoszu Zebrzydowskiego, przysięgając na wierność Karolowi Gustawowi, nie świecili bynajmniej obywatelskim przykładem, jak to twierdzili wielbiciele rzeczypospolitej. Już w „Aktach babińskich“ są wskazówki, iż współcześni niewiele sobie robili z Babina, a zupełne milczenie o nim we współczesnej literaturze stwierdza jego podrzędne stanowisko w życiu publicznem i towarzyskiem. Ale jeżeli ta druga epoka Babina, nie przedstawia się zajmująco, to może pierwsza epoka z czasów Zygmunta Augusta i Batorego odznaczała się temi zaletami, jakie tradycja przypisuje Babinowi? Dowodów *za* niema na to żadnych, dowody *przeciw* można znaleść na podstawie rozumowania. P. Bartoszewicz wykazuje, dlaczego Sarnickiemu, piszącemu o tej epoce, wierzyć bardzo nie można; pisarz to podrzędny, zwolennik bajek wszelkiego rodzaju; w jego opisie Babina są sprzeczności i logiczne nonsensy. Łączyła tego pisarza przyjaźń z Kaszowskim, współzałożycielem rzeczypospolitej, łączyła ich i wspólność wiary, obaj bowiem byli kalwinami, a w tem leży zapewne źródło dziwnie przyczepionej do roczników polskich reklamy dla Babina. W pismach tych wszystkich, co, jak Rej, Kochanowski, Paprocki i t. d. mieli brać udział w wesołej rzeczypospolitej, niema ani śladu o Babinie. Milczy o nim i Górnicki, choć osobny rozdział poświęca w „Dworzaninie“ dowcipowi i przytacza liczne przykłady dowcipu czysto polskiego. Sama postać Stanisława Pszonki, założyciela Babina, przedstawia się bardzo dwuznacznie, doszedł bowiem do naszej wiadomości fakt o nim, stojący w rażącej sprzeczności z podaniem Sarnickiego o jego popularności wśród szlachty. Gdyby nie było opisu Sarnieckiego, nie wiedzielibyśmy nic aż do odkrycia aktów, że istniała jakaś rzeczpospolita, jeżeli więc wartość i bezstronność tego opisu jest zakwestjonowana, to musi być zakwestjonowaną i wartość samego Babina. Według wszelkiego prawdopodobieństwa był on takim samym w pierwszej, jak i w drugiej swej epoce. Co do wydania samych aktów przyznaje, p. Bartoszewicz rzeczywistą zasługę p. Windakiewiczowi. Są one, bądź co bądź, ciekawe, jako obrazek życia towarzyskiego pewnych kół szlachty, są dokumentem, może nie budującym, ale uchylającym nieco zasłony z naszej przeszłości obyczajowej. Rozprawa p. B. odznacza się erudycją i jasnem przedstawieniem rzeczy.

R. P.



Szkoła sztuk pięknych
w Krakowie.

Początek bieżącego roku szkolnego stanowi dla krakowskiej szkoły sztuk pięknych chwilę ważną, może nawet najważniejszą w jej dziejach.

Stan, w jakim się ta szkoła znajdowała dotychczas, nie odpowiadał temu, czego społeczeństwo od niej żądało. Nikt nie wątpił, że kraj cały dostarcza szkole sporej ilości talentów prawdziwych, niekiedy niepośledních. Jeżeli młodzież polska, wyjeżdżająca dla kształcenia się w zawodzie artystycznym do Monachjum i Paryża, wywozi z sobą z kraju tyle wrodzonych zdolności, to niepodobna przypuścić, iżby właśnie grono młodzieńców, kierujących swe kroki ku bramom szkoły krakowskiej nie posiadało między sobą jednostek, wyrastających po nad poziom. Rozumowaniu temu słuszności odmówić nie można. Tem większego doznawano zawodu, patrząc na rezultaty nauki. Ci, którzy sławę malarstwa roznoszą dziś po świecie, wyszli prawie bez wyjątku ze szkół zagranicznych. Kraków nie spełnił oczekiwań, z jakiemi w jego mury na naukę spieszono.

Nie jest dla nikogo tajemnicą, dla czego dotychczas tak było.

W pierwszym okresie istnienia szkoły nie powoływano do Krakowa sił stojących na świeczniku europejskim. Nie było ich wówczas w kraju, a ci co o losach szkoły rozstrzygali nie wierzyli w możność postawienia jej w jednym rzędzie ze znakomitemi zakładami zagranicznemi.

Zanosiło się na zmianę z chwilą powierzenia kierownictwa Matejce. Bronienie wielkiego malarza i wielkiego człowieka od słusznej krytyki, z jaką na tem stanowisku się spotykał, byłoby małostkowością, ubliżającą temu nazwisku. Matejko należy do tych postaci z historyi cywilizacyi, o których można mówić śmiało, bez posługiwania się retorycznemi osłonami. Dziś wiemy, że nie był dyrektorem takim, jakiego ta szkoła potrzebowała.

Błąd tkwił nie tyle w powołaniu Matejki na tę posadę, ile w mylnem mniemaniu, iż przez zamianowanie takiego dyrektora zrobiono już dla szkoły wszystko. Gdyby Matejko był zastał szkołę zorganizowaną wybornie i posiadającą nauczycieli, jakich tylko wyszukać było można, byłby zapewne takim samym dyrektorem, jakich wielu spotykamy za granicą. Inni uczyliby za niego. Szkoła kwitnęłaby dzięki ich pracy. On zaś dodawałby jej blasku swą sławą i zajmowałby się może kilkoma ulubionymi uczniami, wybornie przysposobionymi przez doborowe ciało nauczycielskie. W Krakowie było inaczej. Tu kierownik musiał być zarazem organizatorem szkoły. Musiał własną pomysłowością zapełniać wszystkie braki. Talent organizatorski nie każdemu jest dany.

Nareszcie dokonano reformy zasadniczej. Postanowiono szukać dyrektora na całym obszarze Europy i znaleziono go na dworze cesarskim w Berlinie, w osobie p. Fałata. Sam Fakt przyjęcia tej posady dowodzi, że p. Fałat przejęty jest gorącą chęcią poświęcenia się szkole. Kto w tych warunkach porzuca Berlin dla Krakowa, ten musi mieć wyższy cel przed sobą. Dla karyery — tego się nie robi.

Nowy dyrektor nie poprzestał na siłach nauczycielskich, które zastał. P. Wyczółkowskiego sprowadził z Warszawy, p. Axentowicza z Paryża. Nie byliby pospieszyli na wezwanie, gdyby myśl o kierowaniu młodszemi talentami nie porywała ich za serce, nie nęciła ich fantazyi.

---

ożeńcie się sami, dalibóg... ożeńcie się i już.

— Ej, ta cóż znowu.

— Czemu nie — zawrzeszczał Raniecki — w starym piecu, dyabeł pali. Patrzcie, patrzcie, jak mu się oczy świecą.

— Cóż znowu, cóż znowu, wypraszał się Borajski, zawstydzony naprawdę.

— Jabym wam nawet naraił dobrą partyą.

— Kiedyż bo ja już za stary.

— Tylko nie mówcie tak. Czterdzieści i coś lat... Cóż to znaczy?

— Pewnie, pewnie — żauważyli inni.

— Przyznajcie się tak szczerze, ile macie? — zapytał Wywrot.

— No cóż, ile?... na świętego Marka będzie czterdzieści sześć.

— Otóż widzicie!

— A kogobyście mu dali, ha? — zagadnął rozciekawiony Raniecki, pochylając się przez stół przed same oczy Szeląga.

— Znacie ją dobrze sąsiadeczku.

— A no, a no?

— Pannę Grzebińską... Marcysię Grzebińską córkę Antoniego.

— Dalibóg, złota myśl! — wrzasnął Raniecki. — Panie Borajski, słowo honoru, jazda!... nawet bez popasu! Będzie wesele, bum, bum!...

Tu wsadził Klepce szturchańca w bok, bo mu tenże wśród ogólnego zaciekawienia, nadepnął pod stołem na nogę; równocześnie wrzasnął mu w ucho na przeprosiny:

— Klepka, krzycz „hura!“ będzie wesele!

Wezwany, przyjąwszy wyrozumiale poczęstunek przyjacielski, — omal nie pękł ze śmiechu.

Długo jeszcze rozmawiała wesoła gromadka o tym projekcie, który przyjęto powszechnem uznaniem i zadowoleniem. Ten podniósł piękność panny Marcysi, ów jej wiek dojrzalszy, wkraczając już w drugie ramię trzeciego krzyżyka, tamten znów wychwalał zasługi jej dziadka w zarządzie miejskim około założenia latarń i kostkowych chodników i znaną prawość rodziny Grzebińskich. Dość, że gdy o północy Raniecki, zabierając się do odejścia, jeszcze raz zauważył, iż panna Myrcysia jest bardzo hożą panienką, Borajski klasnął dłonią o kolano i zawołał:

— Hożą? powiadasz... hożą?!

To ostatnie słowo największe uczyniło na nim wrażenie. Za hożemi dziewczętami zawsze przepadał. Hożą była nieboszczka Karolina — Panie świeć nad jej duszą i spraw by mu za złe nie poczytała, że teraz o innej pomyślał! — hożą jest Lola, za co ją właśnie najwięcej miłuje; zresztą i on sam hożym jest jeszcze, mimo, że na święty Marek... Ale mniejsza z tem.

Za przyjściem do domu, spojrzał w zwierciadło i zauważył w nim mężczyznę szpakowatego wprawdzie, ale dzielnego jeszcze i istotnie hożego. Zdrową miał cerę ten co się z lustra do pana Borajskiego uśmiechał, oczy siwe łagodne, brwi krzaczaste, wąsy tęgie, płowe, własnym ciężarem w dół opadające, podkręcone z fantazyą na końcach.

— Możeby pójść dziś jeszcze do Loli i wybadać co ona na to? U niej jeszcze się świeci.

I poszedł.

Lola leżała w łóżku pod atłasową kołderką, ale jeszcze nie spała. Czytała książkę — jakiś romans z „angielskiego“.

Borajski usiadł na krawędzi łóżka i chrząknął.

— Nudziłaś się Loleczko? — zagadnął.

— Nie... trochę — odłożyła książkę na bok z grymasem istoty rozpieszczonej, odczuwającej własne pokrzywdzenie.

— Była u ciebie może która z koleżanek?

— Miała być Marynia, ale nie przyszła.

— Hm... Już ja dobrze widzę, że tobie samej nudno w domu... Tak być nie powinno.

— Był tu pan Franciszek.

— Dawno?

— Może będzie z pół godziny.

— Tak późno?... a on tu po co o tym czasie?

— Powiedział mi przezedrzwi, że chciał ojca prosić o urlop na jutro. Matka jego chora! nawet bardzo chora.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Wszystko przemawia zatem, że ludzie, wyrywający się z odmiennych stosunków, by zająć miejsce profesorów w Krakowie, muszą czuć w sobie powołanie do tego zawodu. Wszystko przemawia zatem, że próba się powiedzie. A byłoby źle bardzo, gdyby się nie powiodła. Trzebaby wówczas powiedzieć sobie, że naród, który tylu wydaje malarzy, na nauczycieli malarstwa zdobyć się nie może.

Nowe siły przekształciły już ustrój szkoły. Rysunek z antyków przestał być wyłączną nauką przygotowawczą i ustąpił w znacznej części miejsca rysunkowi z natury. Zamiast podziału na kursy, powstał podział na oddziały równoległe. Budzi to współzawodnictwo i zbliża szkołę do wzorów zagranicznych.

Przyznać trzeba, że społeczeństwo powitało reformę życzliwie. Jeżeli atoli chce dowieść życzliwości stałej, powinno teraz uzbroić się w cierpliwość. Nie tailiśmy, że dawna szkoła nas nie zachwycała. Pochwaliliśmy powołanie nowych sił. Zrobiliśmy, co do nas należało. Teraz czekajmy.

Trzeba dyrektorowi i profesorom dać czas na zasłużenie sobie na wdzięczność społeczeństwa. *T. Ad.*

Sprawy ekonomiczne.

Najnowsze kierunki w nauce gospodarczej.[1]

W pierwszej połowie października urządziło „Stowarzyszenie dla polityki społecznej“ (Verein für Sozialpolitik) w Berlinie kurs naukowy z dziedziny najważniejszych bieżących kwestyi ekonomicznych. Przed audytoryum z przeszło 800 osób, złożonem z przedstawicieli wyższej inteligencyi i wszystkich warstw, wykładali najwybitniejsi profesorowie uniwersyteccy Niemiec swoje teorye, zaś w godzinach wieczornych zbierali się uczestnicy na swobodne dyskusye o traktowanym z katedry przedmiocie. Jednej sceny z tych wieczorów nie zapomnę. Na sali było obecnych około 400 osób, ludzi starszych, profesorów, urzędników, etc., dających już dowód swojem stanowiskiem, tudzież pojawieniem się tutaj o tej porze po siedmiogodzinnej pracy naukowej w dzień, że są w sprawach społecznych więcej niż dyletantami, ulegającymi modzie. Debatami kierował prof. Adolf Wagner, który w szeregu prelekcyi wygłaszał apoteozę socyalizmu państwowego. Po zamknięciu dyskusyi powstał i wyraził zdziwienie, że nikt nie zabierał głosu ze stanowiska ekonomii liberalnej, indywidualistycznej, ze stanowiska manczesteryzmu. A przecie szkoła to potężna i w nauce wielce zasłużona. Kilkakrotnie prosił, by się nie krępowano ubocznemi względami; wśród 400 ludzi inteligentnych, zajmujących się ekonomią polityczną, musi przecież być jakiś prawowity uczeń Smitha, Ricarda, Bastiata.... A gdy mimo tego wezwania nikt głosu nie zabrał, rozjaśniło się oblicze rektora, ręce zatarł z najwyższem zadowolnieniem i ze świadomością człowieka konstatującego fakt historyczny, do którego wywołania sam też niemało się przyczynił, wyrzekł:

— Więc liberalizm już nie żyje!

Był to tryumf teoretyka; w praktyce zbankrutował liberalizm *ekonomiczny* już dawno. Nietylko Niemcy, przodujący całemu światu na drodze socyalizacyi urządzeń ekonomicznych za pośrednictwem prawodawstwa, ale także Austrya, Rosya, nawet ojczyzna „ekonomii klasycznej.“ Anglia,*) zerwały z zasadą nieograniczonej swobody indywidualnej w dziedzinie organizacyi produkcyi i wymiany dóbr. Jedna tylko Francya pozostała w tyle za resztą Europy. Uspołecznienie wyraża się w trojakiej formie. Państwo (względnie podwładne mu ciało zbiorowe: gmina) występuje bezpośrednio jako przedsiębiorca i producent, wykupiwszy np. i prowadząc we własnym zarządzie koleje żelazne — gminy, prowadząc np. na rachunek komunalny oświetlenie i wodociagi; państwo reguluje warunki produkcyi, stosunek robotnika do przedsiębiorcy, zajmuje się losem proletaryatu (przez ubezpieczenia robotników, instytucyę inspektorów i sądów przemysłowych, etc.); państwo reguluje za pomocą odpowiedniego ustawodawstwa *podatkowego* najjaskrawsze niesprawiedliwości nierównego podziału dóbr (opodatkowanie majątku, podatek progresywny). Wszystkie te kategorye interwencyi siły zbiorowej w dziedzinie ekonomicznej istniejące już nawet w najkonserwatywniejszych społeczeństwach, należą w kroczącej na czele postępu Francyi do haseł wysoce niebezpiecznych. Nienawiść większości parlamentu do teraźniejszego gabinetu Bourgeoisa nie pochodzi ztąd, że losy ojczystej polityki zagranicznej powierzono uczonemu gabinetowi, lecz że wydział finansów oddano człowiekowi, któremu przyświeca hasło podatku dochodowego. Pamiętamy, jak solidarnie popierał parlament Dupuya, skoro ten rozwiązywał rady gminne za założenie apteki, lub piekarni zbiorowej, podczas gdy w Niemczech niedalekim jest może czas, kiedy wszystkie apteki i cały handel zbożem przejdzie z rąk prywatnych do rąk największego ciała zbiorowego — państwa.

Wśród tego wiru sprzecznych interesów i dążności pojawia się bardzo na czasie książka, przyswojona naszej literaturze przez znaną pracownicę na polu nauk filozoficzno-społecznych. Powstało to dziełko z wykładów, które wygłosili najwybitniejsi przedstawiciele różnorodnych szkół ekonomicznych, zaproszeni przez „Chrześciańskie towarzystwo ekonomii politycznej w Szwajcaryi“ w zimie 1690 roku w Genewie. Prelekcya przedstawiciela socyalizmu naukowego M. P. Stieglera została wypuszczoną, natomiast mamy wykłady profesora ekonomii politycznej w Instytucie katolickim w Paryżu, Klaudyusza Janeta o szkole La Playa, — o nowych szkołach przez prof. ekonomii w Montpellier Karola Gide'a. — zaś o szkole liberalnej przez członka Instytutu Fryderyka Passy'ego. Każdy z nich jest reprezentantem innego świata pojęć i dążności a każdy wypowiedział je z tą żywością, jasnością myśli i polotem formy, jaka jest właściwą duchowi francuzkiemu.

Jakiem jest stanowisko nauki w dokonywającym się procesie ewolucyi ekonomiczno-społecznej? Co do tego punktu istnieje w sferze specyalistów różnica zdań, która dotąd daleka jest od wspólnego mianownika. Zaostrzyła się ona do rozmiarów walki, gdy przed dwudziestu pięciu laty grono niemieckich uczonych i polityków zorganizowało w Eisenach „Stowarzyszenie dla polityki ekonomiczno-społecznej“; zawrzała ta walka znowu przed 10 laty, gdy prof. uniwersytetu wiedeńskiego Antoni Menger wydał głośne swoje „Untersuchungen“ co do metodologii, w których praktyczne zagadnienia ekonomiczne, np. politykę przemysłową, skarbowość, zalicza raczej do dziedziny sztuki, niż nauki. Na tym punkcie zgody dotąd niema i prawdopodobnie nie będzie. Stary sceptycyzm zauważył już, że gdyby pytanie: dwa razy dwa — dotyczyło bezpośrednich interesów ludzkich, nie byłoby dotąd „definitywnie“ rozwiązane; cóż dopiero pytania burzące namiętności i interesy najbardziej osobiste, najdrażliwsze, będące podstawą dobrobytu majątkowego i stanowiska społecznego.

Na te spory co do kwestyi czysto praktycznych, aktualnych, nauka odpowiedzi nie daje i dać nie może. Medycyna teoretyczna jest nauką, ale zapisywanie recept jest sztuką: dyagnoza, przewidywanie komplikacyi, przystosowanie terapii do złożonych właściwości organizmu, jest rzeczą tak dalece zależną od dwóch indywidualności, leczącego i leczonego, — iż o stałych prawidłach nie ma mowy. W ogóle wszelkie przystosowanie jest już li tylko sztuką, cóż dopiero wobec takiego organizmu, jakim jest społeczeństwo. Nauka ma za zadanie wiązanie ze sobą pewnego szeregu typowych zjawisk łańcuchem przyczynowości. Ściśle stwierdzona ta zależność jest dla nas prawem i możemy z niej wnioskować, że gdyby kiedyś ponowił się dany szereg przyczyn, otrzymalibyśmy z nich analogiczny, znany już nam rezultat. Z tego wychodząc założenia łatwo poznać, o ile może być mowa o prawach, t. j. o prawdziwej nauce w ekonomii i polityce społecznej. Jedna jak i druga dziedzina z największą tylko ostrożnością i w najbardziej ogólnych tematach formułuje swoje prawa i tendencye, jedna jak i druga zostawia bardzo szerokie pole subjektywizmowi i omyłkom. Co innego — polityka, ta szuka nie praw i prawd, lecz najpraktyczniejszych środków do osiągania korzyści chwili, ale o ile się liczy z nauką, o ile postępuje w myśl jej wskazówek, poznaje i zużytkowuje wskazane przez nią w danym kompleksie zjawisk zawarte prawa lub tendencye, o tyle posiada owa polityka większą żywotność i może liczyć nie zawsze na efekt chwili, ale często na przyszłość.

Rozważając z tego stanowiska wywody trzech prelegentów, które przedstawiają we Francyi „najnowsze kierunki w nauce gospodarczej“ (powinno być „współczesne“, gdyż mowa tu przeważnie o istniejących od dawna kierunkach), należy przyznać miano naukowości jedynie wywodom prof. Gide'a.

Reprezentant *szkoły wolności,* Passy, posługuje się metodą dedukcyjną, a kontroluje ją szeregiem faktów, anegdot z życia sławnych ludzi, cytat z „samego“ Bastiata, którym można przeciwstawić setki wręcz przeciwnych. Zdaje się, że nie przyjmuje teoryi ewolucyi, ma typowy, przez wszystkie czasy i stosunki identyczny ideał człowieka i państwa i w sprawach gospodarczych przyznaje li pierwszemu rolę czynną, drugiemu zawsze bierną. Zdrowy rozsądek, na który się powołuje, szepce mu atoli, że owoc tysiącletniej kultury: państwo musi być czemś więcej niż żandarmem. Ztąd rozmaite sprzeczności i brak konkretnego programu; raz przyznaje mu „rolę opiekuńczą i zapobiegawczą“ (więc np. ciało opiekuńcze? fabryczne ustawodawstwo ochronne?), to wraca do starej piosenki, że powinno ono „w zakresie rolnictwa, przemysłu, handlu etc., przez neutralność i bezstronność swoją zapewnić każdemu swobodny rozwój sił jego i zdolności“. Są to pojęcia rudymentarne, we Francyi toczące konwulsyjną walkę z nowym duchem czasu; wolność bezwzględna święci tam ostatnie swoje orgie, męty Panamy i kolei południowych — oto, co na dnie jej kielicha widnieje.

Janet mówi o *szkole autorytetu,* o La Playu. Szkoła ta wychodzi z założenia czysto religijnego, więc eo ipso usuwa się z pod debaty naukowej. Z tego powodu musi tłomaczka w przypiskach często polemizować

[1]) „Najnowsze kierunki w nauce gospodarczej“. Tłomaczenie z francuskiego przez dr. Zofię Daszyńską. Warszawa 1896.

*) Zobacz ciekawe studyum Sydney-Webba „Socyalizm w Anglii“.

z prelegentem. Wielbi on np. ustrój gospodarczy współczesny za to, że umożliwia „przechodzenie dzięki oszczędności i zdolności produkcyjnej coraz większej liczby jednostek z klasy pracującej do średniej, wytwarzając tę szeroką podstawę, jaka cechuje nasze społeczeństwo nowożytne“, kiedy obserwacya codzienna i statystyka udawadniają, że czas nasz cechuje się właśnie zanikiem klas średnich, zogniskowaniem bogactw z jednej a proletaryzacya z drugiej strony. Gdyby tak było, jak autor twierdzi, nie byłaby potrzebną żadna akcya społeczna, żylibyśmy w najlepszym ze światów: on sam jednak widzi straszne rozmiary współczesnej kwestyi społecznej i chce ją załatwić przez przywrócenie *autorytetu* kościoła w obec wszystkich, ojca wobec rodziny, majstra w warsztacie; chce nas przenieść w wiek XVI. Ignoruje więc maszyny i spowodowane przez nie zawikłania, ignoruje fakt, że dzisiaj wytwarza się dla rynku światowego a cofnięcie produkcyi wstecz byłoby zatem całkowitym upadkiem zdolności konkurencyjnych danego społeczeństwa wobec drugich. Apeluje głównie do wolnej woli jednostek, nie uwzględniając wcale tendencyi rozwojowych. Jako *politycy* mogą mężowie tej szkoły — stronnictwo hr. de Mun we Francyi, centrum w Niemczech, chrześciańsko-socyalne w Austryi — święcić chwilowe tryumfy, postępując jednak wbrew wskazówkom nauki muszą prędzej lub później zbankrutować lub paść pod ruinami spowodowanego przez własną agitacyę powszechnego upadku.

Prof. Gide zbliża się tak w metodzie, jak i w dążeniach najwięcej do współczesnej nauki. W ogólnych zarysach określa współczesne „nowe szkoły“, szczególnie w Niemczech. Zgodne one wszystkie z tem, iż w przeciwieństwie do liberałów badają zjawiska i instytucye ekonomiczne w stanie dynamicznym, ewolucyjnie: wszystkie są kategoryą historyczną. Z tego też wynika, iż nie mają autorytetu, dogmatu, i muszą zmienić się w przyszłości. „Na równi z kolektywistami przekonani o możności istnienia porządku społecznego wyższego niż istniejący dzisiaj... przystajemy na tło kolektywizmu“. Nie wykazał atoli autor, o ile podobna dążność jest zawarta potencyalnie we współczesnym ustroju, o ile jest koniecznością rozwojową — co byłoby przeniesieniem sprawy ze sfery chęci w sferę nauki.

Że szkołą La Playa szkoła nowa ma analogię głównie w solidarnem akcentowaniu czynnika etycznego, oczywiście inaczej pojętego. Odwołuje się ona jednak nie do autorytetu, „nie zadawalnia się laisser-faire'yzmem, nie poprzestaje nawet na odwołaniu się do osobistej energii człowieka, ale śmiało żąda interwencyi państwa, która przeobrazić powinna środowisko społeczne“. Jestto uogólnienie ze strony Gide'a trochę za śmiałe; co do programu praktycznego, istnieją między głównymi przywódzcami nowego kierunku w Niemczech, między prof. Wagnerem, Brentano i Schmollerem różnice bardzo głębokie; zgodni oni jednak w haśle, które Gide szczęśliwie obrał dla wszystkich, zowiąc ich „szkołą solidarności“. Tak przez swą metodę, która bada społeczeństwa w ich rozwoju historycznym i doszukuje się łańcucha, wiążącego zjawiska dzisiejsze z dawniejszemi, a żyjące pokolenia z temi, co już wymarły, — przez praktyczną swą dążność do przemiany człowieka i środowiska, w którem żyje, — wreszcie przez uznanie udziału państwa, uważanego za wyraz węzła niewidzialnego, ale rzeczywistego, który ludzi żyjących łączy we wspólne społeczeństwo, jest ona istotnie szkołą solidarności.

Wilhelm Feldman.



W sprawie Banku Ziemskiego.

Z prowincyi.

W ostatnim czasie pojawiły się w rozmaitych pismach artykuły w sprawie Banku Ziemskiego. W artykułach tych zwracano uwagę na nową emisyę akcyi tegoż Banku i żądano ze wszystkich stron czem prędszego jej pokrycia. Nie wchodzę w to, czy i o ile artykuły te, pojawiające się w „Kraju“, w „Czasie“ itd., miały swój początek w Poznaniu — do takich rzeczy przyzwyczajono nas, zresztą są to sposoby praktykowane w świecie finansowym od dawna. Nie zabierałbym też głosu w tej sprawie, gdyby nie korespondencya w nr. 273 „Dziennika Poznańskiego“ z dnia 28 listopada i załączone do niej uwagi redakcyi.

Korespondencya ta brzmi:

„Artykuł w sprawie drugiej emisyi Banku Ziemskiego wzbudził w nas żywe zainteresowanie. Nie mamy wcale zamiaru zgłębiać tu kwestyi, czy sama powszechna w kraju nędza, czy też w części pewne potępienia godne zobojętnienie ogółu — albo nawet wreszcie i brak należytej agitacyi w tej sprawie stał się przyczyną, iż emisya ta dotąd pokrytą nie została. Chodzi nam jedynie o zaradzenie złemu i wyszukanie środków, aby jak najspieszniej kapitał zakładowy uzupełnić.

„Zapytujemy zatem niniejszem, czemubyśmy pieniędzy złożonych na fundusz Kościuszkowski jako i na dar dla Kardynała Ledóchowskiego nie umieścili w akcyach tak patryotycznej, a zarazem tak pewnej instytucyi, jaką jest Bank Ziemski?

„Prosimy myśl tę poddać pod sąd ogółu — a może znajdzie poparcie“.

„Od Redakcyi. Czynimy zadość życzeniu powyższemu i podajemy, że, o ile nam wiadomo, z wielu stron wyrażają to życzenie zwłaszcza co do funduszu Kościuszkowskiego. Co do drugiego, to nie wiemy, co zamierza komitet z zebranym funduszem zrobić.“

Tyle „Dziennik Poznański“.

Przeciw takiemu projektowi powinnibyśmy stanowczo założyć protest.

Autor powyższego projektu nazywa Bank Ziemski „instytucyą tak patryotyczną i tak pewną“.

Wszystkie niemal nasze instytucye finansowe zaszczycamy mianem „patryotycznych“ — i w tem nasza zguba.

Dla patryotyzmu kupowaliśmy akcye Tellusa, Małeckiego i Sp., banku Toruńskiego, Towarzystwa nafty, Kwileckiego i Sp., — dla patryotyzmu milczeliśmy o tem, cośmy publicznej powinni byli poddać dyskusyi — i cóż się stało? oto jedna instytucya po drugiej upadała i upada.

O każdej naszej instytucyi piszemy przez patryotyzm, że jest „świetnie prowadzoną“ — „jak najpewniejszą“, dopóki.... nie runie. Z upadkiem jej dopiero dowiaduje się społeczeństwo, że od lat tylu a tylu źle ją prowadzono, że należycie nie odbywano kontroli itd. Takie postępowanie jest wyzyskiwaniem patryotyzmu. Powinniśmy wychodzić z tego założenia, że nasze instytucye finansowe są tylko wtenczas patryotycznemi, jeżeli dobrze stoją.

1. Co do Banku Ziemskiego, to rozpisują się tyle o tem, że kupowanie akcyi tego banku, to najpewniejsza lokacya kapitału. Twierdzący to albo nie znają się wcale na rzeczy, albo okłamują z rozmysłem społeczeństwo.

Bank Ziemski jest towarzystwem akcyjnem. Akcye towarzystw akcyjnych

a) albo mają kurs na giełdzie — wtenczas można ich się każdej chwili podług kursu pozbyć,

b) albo nie mają kursu — wtenczas (z wyjątkiem przypadkowej sprzedaży) pozbyć ich się wcale nie można. Pieniądze, zapłacone za akcyę otrzymujemy z powrotem dopiero przy rozwiązaniu towarzystwa akcyjnego, ale i wtenczas tylko w tym razie, jeżeli po zapłaceniu wszystkich długów pozostanie tyle kapitału, na ile brzmią akcye.

Akcye Banku Ziemskiego nie mają kursu — pozbyć się ich zatem nie można i pieniądze, zapłacone za akcye, otrzyma się dopiero po rozwiązaniu banku. Kupujący więc akcyę Banku Ziemskiego musi sobie z góry powiedzieć, że pieniędzy, zapłaconych za nią, nie ujrzy tak szybko z powrotem. Z tego wynika, że nie powinien kupować akcyi nikt, ktoby mógł zapotrzebować kapitału wyłożonego za nią, albo innemi słowy, że akcye Banku Ziemskiego może tylko ten kupować, kto się obyć może bez kapitału, potrzebnego do ich zapłacenia.

2. Gdyby ktoś pocieszał się dziwnem przypuszczeniem, że bank się rychło rozwiąże, a zatem pieniądze rychło wrócą do rąk akcyonaryuszów, popełniłby fatalny błąd kombinacyjny.

Z natury rzeczy wynika, że każde Towarzystwo akcyjne istnieje tak długo, jak tylko się da: rozwięzuje się tylko wtenczas, gdy już dalej istnieć nie może.

Czasem towarzystwa akcyjne rozwięzują się nie w ostatniej chwili dopiero, lecz już wcześniej, skoro tylko powstaje dla akcyonaryuszów *obawa* strat, — ale to dzieje się tylko tam, gdzie bądź to pojedyńcze osobistości, bądź to pojedyńcze instytucye finansowe mają w swem ręku większą ilość akcyi, a to tak wielką, że z jednej strony nie chcą się narazić na dotkliwą stratę, z drugiej zaś, posiadając tyle głosów do akcyi przywiązanych, mogą decydować o likwidacyi.

O Banku Ziemskim powiedzieć tego nie można; tu nigdzie wielka ilość akcyi nie spoczywa w jednem ręku. To też Bank Ziemski niewątpliwie istnieć będzie tak długo, jak tylko będzie mógł, i rozwiąże się wtenczas dopiero, gdy zabraknie funduszów.

Czyż było u nas z jakąkolwiekbądź instytucyą finansową inaczej?

3. Wspominano w artykułach, tyczących się Banku Ziemskiego, o tem, że Bank Ziemski płaci procenty w formie dywidend, że zatem kapitały, umieszczone w akcyach, przynoszą korzyść.

Prawda — ale nie są to odsetki o stałej stopie procentowej, tylko odsetki, zależące od zysku, jaki Bank Ziemski w swych interesach osiąga. Nie będzie Bank Ziemski miał zysków, to nie będzie płacił żadnych dywidend, i kapitały włożone w akcye nie będą przynosiły żadnych odsetek.

4. Projekt obrócenia funduszu Kościuszkowskiego na zakupno akcyi jest więcej jak lekkomyślnością. Pomimo to nie wątpimy o urzeczywistnieniu tego zamiaru. Cóżby u nas nie było możliwem?!

Coś podobnego zrobiono swego czasu ze składkami na teatr poznański. Z ówczesną sprawą miała się rzecz o tyle inaczej, że składano się chociaż pośrednio na cel pierwotnie zamierzony. Ale tu składano pieniądze na całkiem odrębny przeznaczeniem fundusz Kościuszkowski, a za to ma się kupować akcye Banku Ziemskiego. Ciekawi też bylibyśmy, jak sobie autor owego projektu i Redakcya „Dziennika Poznańskiego“ przedstawiają przeprowadzenie tej manipulacyi. W wysokości funduszu Kościuszkowskiego zakupionoby akcye Banku Ziemskiego, — ale co zrobionoby z temi akcyami? Należałoby:

a) albo dać te akcye pewnym osobom — a wtenczas przyszłyby te osoby do ich posiadania nie za swoje pieniądze,

b) albo nie danoby tych akcyi nikomu, a wtenczas akcye w wysokości kapitału Kościuszkowskiego nie miałyby nigdy żadnych reprezentantów.

Ale któżby się tam u nas pytał o takie bagatele!! *X. X.*



Opieka nad dziećmi.

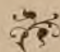
Dziś, gdy u nas opinia publiczna i prawo zajmują się coraz bardziej dziećmi wszelkiego rodzaju, warto w tym dziale stosunków rozejrzeć się na Zachodzie. Przedewszystkiem na uwagę zasługują domy podrzutków we Francyi. Roku 1791 Zgromadzenie narodowe postanowiło, aby społeczeństwo przyjęło na siebie obowiązek opieki nad podrzutkami, a we dwa lata później wydano prawo, na którego mocy każdy obywatel mógł żądać, aby jego dzieci chowane były na koszt narodu. R. 1804 zaprowadzono w Lyonie pierwszy żłóbek, a Napoleon z bardzo zrozumiałych względów (wielkie mordercze wojny pochłaniały ludność i wymagały ochrony pozostałej) r. 1811 zaprowadził obowiązkowo takie urządzenia w każdem „arrondissement", tak iż ogółem powstało ich 251. Nic więc dziwnego, że liczba podrzutków (w 1784 r. 40,000) wzrosła w r. 1833 do 130,945, a koszt utrzymania do 10 milionów fr. rocznie. Od tej chwili następuje zanik instytucyi; r. 1860 liczono we Francyi 175 żłobków, dziś nie ma ich prawie wcale. Matki znajdują się pod ścisłą kontrolą, ale natomiast otrzymują przez pierwsze trzy lata życia dziecka zapomogę; w ten sposób około 20 tysięcy dzieci korzysta z opieki publicznej. To samo widzimy w Belgii, gdzie matki, nie posiadające mężów, otrzymują przez trzy lata 25 fr. miesięcznie, o ile same karmią i wychowują dzieci. Podobnie ukształtowały się stosunki w innych krajach (w Austryi). We Włoszech żłobki jeszcze są popierane, ale i tam zapewne niedługie będzie ich istnienie. Potępiając bezużyteczność tych urządzeń, należy zdawać sprawę z warunków, w jakich się rozwijały. Były to zawsze zakłady okropne pod względem hygienicznym. Śmiertelność wynosiła w nich 60—80%, a były i takie, gdzie ze stu wychowańców dwu zaledwie przeżywało czternasty rok; panowały tam najbardziej mordercze epidemie. Wywołało to surową reakcyę pyzeciwko żłobkom. Zdaje się jednak, że zamiast w przyczynę, uderzono w skutek; widziano tylko rezultaty, nie zwróciwszy uwagi na to, że wypływały one, być może, wcale nie z systemu.

W Niemczech rozwój szedł inną drogą. Tam instytucya żłobków nie przyjęła się zupełnie, co poniekąd przypisać należy zasadzie prawa niemieckiego, które zobowiązuje ojców do płacenia alimentów. Praktyka atoli wskazała, że ta droga do celu nie prowadzi: matki „panny" rzadko tylko pozywają ojców o koszta, przyczem według zwyczajów niemieckich, przysądzano niewielkie sumy. Obecny projekt ustawy cywilnej dla państwa niemieckiego wprowadza tutaj wiele dobrego. Utrzymanie, jakie obowiązany jest dać ojciec, obejmuje całokształt potrzeb materyalnych, wychowawczych i przygotowawczych do przyszłego zawodu. Alimenty płacić jest obowiązany aż do 16-go roku życia dziecka, przyczem ponosi koszta porodu i sześciotygodniowego utrzymania położnicy i dziecka za kwartał pierwszy — z góry, przed porodem. Sąd może wydać w każdej chwili stósowne rozporządzenie. Pomimo całego postępu, prawo to zawiera jeden z najważniejszych błędów dawnych, który tkwi w samym procesie utrzymywania alimentów. Zazwyczaj wstyd nie pozwala dziewczynie odwołać się do pomocy sądu, albo nie wie ona, gdzie się ojciec znajduje, wreszcie musi z wyrokiem w ręku ściągać każdą ratę oddzielnie. W końcu proces wymaga pomocy adwokata i trwa od jednego do trzech miesięcy. To też w Lipsku np. zaledwie czwarta część mających prawo do tego, korzysta z pomocy sądu.

Smutne, zaprawdę są losy dziecka „bez ojca" na bruku wielkomiejskim. Matka — robotnica zazwyczaj — przy pracy, nie ma czasu dla doglądania swej dzieciny, a gdy zarobku zabraknie, żywić ją tylko może własnym głodem i własnemi łzami. Śmiertelność śród takich niemowląt jest straszna. W Berlinie 40% nie przeżywa roku, najwięcej bywa martwo urodzonych. Statystyk niemiecki, prof. Boeckh, obliczył, że śmiertelność dzieci, żywionych mlekiem zwierzęcem, jest sześć razy większa, niż karmionych piersią matki. Zazwyczaj trzecia część niemowląt oddawaną jest „na garnuszek" po za granice miasta i to w pierwszym kwartale życia. Matki obowiązują się płacić w pierwszym roku 15, w następnych 10—12 marek miesięcznie. I w Niemczech ujawniano nieraz smutną rolę „fabryk aniołków"; mimo to wielu badaczy stwierdziło bardzo żywą ofiarność tych rodzin, które przyjmują dzieci na wychowanie, połączone niekiedy z materyalnym nakładem własnym, gdy matki np. w czasach zastoju nie mają pracy. Owe atoli okrutne doświadczenia, których my zakosztowaliśmy w sprawie Skublińskiej, wywołały nadzór lekarski i policyjny nad wychowańcami. W Anglii uczyniło to już roku 1872 „Jnfant life protection act", we Francyi — gdzie w samym Paryżu rok rocznie 20,000 dzieci bywa wysyłanych do okolic, w r. 1874 oddano tam pod opiekę prawa wszystkie takie niemowlęta poniżej dwu lat wieku. — W różnych dzielnicach Niemiec rozciągnięto ten dozór i nad cztero i sześcioletniemi. Gdzieniegdzie udało się zachęcić do odwiedzania owych dzieci kobiety z różnych stowarzyszeń filantropijnych z rezultatem pomyślnym. Gdzie jednak, jak w wielkich miastach, (Berlin, Lipsk, Drezno) pozostawiono to organom policyi, tam opieka nie przyniosła pożądanych owoców. Ważne ma znaczenie kontrola zdrowotna, wprowadzona w kilku miastach niemieckich. Nadzór ten spełnia lekarz, który ma do pomocy siedem wyspecyalizowanych dozorczyń. Każde dziecko, oddawane na wychowanie, musi mu być przedstawione w pierwszy piątek po przyjęciu. Po oględzinach, w razie potrzeby (w wypadku np. przymiotu) chore niemowlę natychmiast odsyłane jest do szpitala. W ciągu następnych ośmiu dni leka z odwiedza sam mieszkanie rodziców przybranych i sprawdza, czy odpowiada ono warunkom hygienicznym, poczem w oznaczonych odstępach czasu czynią to dozorczynie. Każda „matka" otrzymuje książkę, gdzie prócz uwag lekarza i dozorczyń, znajduje wykład postępowania względem dziecka. Instytucya lipska ma jeszcze jedną wyjątkowo ważną zaletę: Połączyła się ona ze „Stowarzyszeniami opieki nad ubogimi" i tym sposobem, w razie jeżeli matki faktycznie za dzieci swe płacić nie mogą, pośredniczy w udzielaniu zapomóg. Kobieta wezwana do zarządu, musi przedstawić stosunki majątkowe i wskazać ojca, który z obawy przed stowarzyszeniem urzędowem, płaci regularnie swoje składki alimentacyjne. Obecnie nawet cała ta procedura odbywa się natychmiast przy oddawaniu dziecka. Skargi alimentacyjne stały się coraz rzadszemi, a ojcowie wnoszą zapomogi wprost do Stowarzyszenia opieki nad biednymi. W ten sposób zyskano dużo czasu i nadano całej operacyi charakter istotnej opieki nad opuszczonemi i bezbronnemi. Raz do roku odbywa się przegląd ogólny dzieci. Jest to także bodziec dla wychowawczyń do wzajemnego prześcigania się w staranności. Najlepsze matki otrzymują nagrody.

Drezno poszło za przykładem Lipska ze skutkiem jak najpomyślniejszym pod względem sanitarnym. Po tych ulepszeniach pójdą dalsze. Opieka będzie rozciągnięta i nad dziećmi, pozostającemi na wychowaniu u krewnych matki, oraz nad tymi, którzy za sumę ryczałtową podejmują się wychowania, wreszcie nad dziećmi prawego pochodzenia, oddanemi przez rodziców obcym.

Humanus.



Kronika wiedeńska.

Wiedeń, 2go grudnia 1895.

(Humanitarny objaw ze strony ministra finansów. Poseł Rutowski, a emigracya włościan galicyjskich).

Miejsce ministra finansów zajął ponownie nasz rodak. Czy będzie on lepszym od dawnych ministrów, — to się okaże później, na razie stara się p. Biliński być więcej od nich *ludzkim*. Myli się jednak, kto sądzi, że na własne ryzyko obniża on stopę podatkową, albo z własnej kieszeni płaci zaległe obole; tego nie czyni, wydaje natomiast swoim urzędnikom polecenia, aby przy ściąganiu podatków, przy licytowaniu ruchomości i nieruchomości za długi do skarbu państwa, funkcyonaryusze urzędowi byli *grzeczni, uprzejmi i pełni wyrozumiałości* dla kontrybuentów państwa. Nam się zdaje, że rozporządzenie takie jest np. dla Galicyi, gdzie chłop często niema co jeść, bardzo drugorzędną sprawą — i daleko byłoby lepiej, aby ministeryum postarało się raz już przecież o sprawiedliwszy rozdział podatków między płacące je klasy, aby z biednego chłopa lub rzemieślnika nie zdzierano ostatniego kaftana z chwilą, kiedy pierwszy lepszy giełdziarz żydowski kapitały stutysięczne, nie obciążone żadnym podatkiem, nosić może w kieszeni. Do umoralnienia urzędników fiskalnych nie przyczyniało się dawanie im procentów za wydarte dłużnikom państwowym kwoty, albo zapisywanie im pochwał w stan służby za wyśledzenie utajonej wysokości pozostawionego testamentem kapitału, — nie przyczyni się również nakaz wyżej wspomniany.

Chłop galicyjski, wyciśnięty z jednej strony przez śrubę podatkową, z drugiej przez biednego i walczącego z nędzą — ale sprytniejszego odeń żyda, dochodzi teraz wprost do czarnej i strasznej rozpaczy. Rozumieją sytuacyę żydki pruskie i polskie i urządzają formalną nagankę do Brazylii i innych krajów Ameryki. Tysiącami pędzą na oślep ofiary „lepszej doli" przez Wiedeń do Włoch, a ztamtąd dalej do obiecanego raju. Agenci *sprzedają* literalnie chłopa galicyjskiego w niewolę, odarłszy go tutaj z ostatnich resztek mienia i odzieży i nastraszywszy kryminałem w razie powrotu. Chłop, owa siła ludu, która wszędzie stanowi podwalinę dobrobytu, w Galicyi uważa się za bydlę niewarte nawet transportu do innego „becyrku". Niedawno temu, bo zaledwie rok minął, kiedy zabraniano emigrować i złapanych na drodze rzeczywiście karano aresztem. Dzisiaj przynajmniej wolno wyjeżdżać nienależącym do wojska, kobietom i dzieciom. Chcąc ułatwić ową emigracyę i ocalić wyjeżdżających przed zdzierstwem biur tran-

sportowych i ich agentów, zawiązało się we Lwowie — (emigrują najwięcej chłopi z za Lwowa lub w ogóle z Rusi) — „towarzystwo śgo Rafała“. Zdobyło ono sobie już nawet pewnego rodzaju zaufanie emigrantów, których starało się zaopatrzyć we wszystko, co potrzebne jest w drodze, a zapewniło nawet wygody pewne i ułatwienia na kolejach i okrętach. Podczas gdy koleje państwowe w Galicyi, gdzie urzędnikami są sami Polacy, transportowały większe partye wychodźców wozami przeznaczonemi dla bydła i koni — (*fakt autentyczny*) — pomimo, że każdy z tych jadących *płacił za bilet 3-ciej klasy*, i pchano w ten sposób ulokowanych jednym ciągiem ze Lwowa do Wiednia, to zarząd kolei południowej, prywatnej, oddawał partyom osobny pociąg, zważając, aby nie było przepełnienia. Członkowie Tow. śgo Rafała robili wszystko bezinteresownie i postarali się nawet o *bezpłatny przewóz emigrantów z Tryestu do Brazylii*. Duszą tego przedsięwzięcia jest dr. Stanisław Kłobukowski, który nietylko skierował wychodźców do jednej prowincyi, „aby byli razem“, ale namówił kilku księży i nauczycieli do jazdy z partyami, a ostatecznie sam do Brazylii wyjechał, aby u rządu brazylijskiego starać się o pewne możliwe ułatwienia. Naturalnie, taki idealny człowiek nie rodził się w Galicyi, dla tego też pozazdroszczono mu jego pracy i starań, i jak to w Galicyi zwyczajem, powiedziano, że ma on i ma Tow. śgo Rafała interes osobisty w wywożeniu chłopów do Brazylii, dalej zaś, że p. dr. Kłobukowski zobowiązał się rządowi w Brazylii dostarczyć 10,000 galicyjskich chłopów. Powiedziano to w Kole Polskiem parlamentu austryackiego, — w tem kole, którego niektórzy członkowie chłopom przy robocie płacą po 20 centów dziennie, wydając tysiące guldenów żydom podczas akcyi wyborczej, aby tylko wejść do Rady państwa. Powiedział to poseł Rutowski, który zajmował się niefortunnem ułożeniem reformy wyborczej, a przy wyborach do sejmu upadł we wszystkich trzech kuryach. Dla czego poseł Rutowski woli widzieć chłopa galicyjskiego leżącego w błocie i umierającego z głodu, aniżeli pozwolić, aby ten sam chłop przy ciężkiej pracy dobrze zjadł i kiedyś wrócił do kraju mądrzejszym, pracowitszym i zamożniejszym? Jesteśmy przekonani, że szanowny poseł z Tarnowa samby tego wyjaśnić nie potrafił!... Po takiem wystąpieniu w Kole polskiem Towarzystwo śgo Rafała rozwiązało się wczoraj, i oczekuje powrotu dra Kłobukowskiego, aby swoją sprawę załatwił. Jakby na dany znak, dzisiaj rano wyjechało dwudziestu agentów biura transportowego do Galicyi dla agitacyi i wywożenia ludzkiego towaru! *Xi.*

Z estrady i sceny.

Występy Kotarbińskiego.

(„Prawem miecza“. — „Otello“.)

Przed dwoma czy trzema laty pojawił się w Komedyi francuzkiej dramat Richepin'a pod tytułem „Par le glaive“. Krytyka przyjęła to dzieło autora znanego dotychczas przeważnie z powieści tylko, bardzo przychylnie. Nawet najszczerszy i najbezstronniejszy z paryzkich krytyków teatralnych, stary Sarcey, na rozpaczliwe zdobywał się wysiłki, aby wykryć możliwie wiele zalet w tym utworze, w którym upatrywano powszechnie zwrot czyli dokładniej powrót do dawnego romantyzmu. Publiczność zaś poszła w tym wypadku za głosem krytyki i zapewniła „Par le glaive“ cały szereg przedstawień. Powodzenie to tłomaczy się chyba wstrętem, jakim napełnia widzów dzisiejsza francuzka produkcya dramatyczna. Jakichkolwiek bowiem zalet najwprawniejsze nawet oko nie dopatrzy się w tem dramidle Richépina.

Tło zaczerpnięte jest z burzliwych dziejów miast włoskich przy schyłku średnich wieków. Ale historyczne wiadomości p. Richépin'a nie zdają się sięgać zbyt głęboko. Bohater sztuki, a jednocześnie władca Raveuny, ma być wodzem najezdniczej hordy. Hordy barbarzyńskie nie pojawiały się już w górnych Włoszech przy końcu XIV wieku, czyli w czasie, w którym się rozgrywa akcya w „Par le glaive“. Co najwyżej może być mowa o wodzu najemników, którzy w owych czasach walczyli na żołdzie potężnych i bogatych miast północno-włoskich. Przytem figury, działające czy gadające w „Prawem miecza“, nie wykazują najmniejszych znamion ówczesnej epoki. Wybaczyć by zresztą można ten brak historycznej wierności, posiadającej w rzeczy samej w utworze poetyckim podrzędniejsze tylko znaczenie, ale autor gorzej jeszcze się obchodzi z prawdą wewnętrzną, z psychologicznym rysunkiem charakterów. Nie ma w tym dramacie ludzi, są tylko manekiny, które raz nakręcone wygłaszają nadzwyczaj długie, nadzwyczaj szumne, a przedewszystkiem nadzwyczaj nudne tyrady.

Kotarbiński wystąpił w roli najbardziej wygadanego z bardzo wygadanych bohaterów sztuki, bohaterów bowiem jest w „Prawem miecza“ cały legion. O ile też sama deklamacyjna zdolność zapewnić może powodzenie, znakomity artysta, który tym razem podjął się dość niefortunnego zadania, osięgnął cel swój w zupełności. Wygłaszane potężnym a przy tem niezrównanie pięknym organem jego tyrady, budziły wdzięczny oddźwięk w sercach słuchaczy i zdobywały mu co chwila huczne oklaski. Więcej zrobić z tej roli, natchnąć prawdziwem życiem tę figurę z tektury nie zdołałby nawet najgenialniejszy wykonawca.

Lepsze już pole do popisu nastręcza główna postać kobieca. I Rynalda nie odznacza się dokładnością psychologicznego rysunku; owszem grzeszy dość dotkliwym brakiem prawdy. Rola ta jednak posiada kilka chwil, nakreślonych z siłą, sprawiających przy należytem ich oddaniu dość wielkie wrażenie. Chwile te wyzyskała świetnie p. Paszkowska Ale nietylko te chwile — całe pojęcie, opracowanie i przeprowadzenie roli nacechowane było niezwykłym talentem, połączonym z wielką inteligencyą. Dzięki też tej grze artystycznie wykończonej, młoda artystka wysunęła na plan pierwszy swoją rolę i skupiła około niej wyłączny prawie interes widza. Wspaniale przytem wyglądała w pięknym, stylowym włoskim kostyumie średniowiecznym.

Całość wykonania „Prawem miecza“, jeżeli pominiemy bardzo energiczną pomoc suflera, nie raziła zbytecznie. Pp. Skirmunt, jako wódz najezdniczej hordy, Jakubowski w roli intrygującego Włocha, Grabowiecki jako pretendent do raweńskiej korony i p. Ogińska, w roli chłopca, bez zarzutu wywiązali się ze swego zadania.

Tłomaczenie dramatu Richépin'a, dokonane przez p. Chamca woła o pomstę do nieba. Zdaje się człowiekowi, że jedzie po grudzie, gdy słucha tych nędznych wierszy, naszpikowanych barbarzyńskiemi, niemożliwie trywialnemi wyrazami. „Par le glaive“ odznacza się poważnemi zaletami literackiemi, — spoczywa w nich właściwie cała wartość tego dramatu — a zalety te zabiła w zupełności nieudolna ręka tłomacza.

Nie wiem, jak najtreściwiej a przytem najdosadniej scharakteryzować grę Kotarbińskiego jako Otella. W każdym razie znakomity artysta w roli tej jest innym niż Otello Rossiego, Salviniego, Maggiego i Leszczyńskiego, którego zaliczam do najlepszych współczesnych przedstawicieli szekspirowskiego murzyna. W swej interpretacyi Otella kładzie Kotarbiński główny nacisk na elementarne pierwotne instynkta, nurtujące duszę tego bohatera zazdrości. Niezawodnie, że takie pojęcie tej roli nie ze wszystkiem zadowoli zwolenników klasycznej pozy, zdobędzie sobie jednak szczery poklask u wszystkich tych, którzy i w sztuce aktorskiej szukają przedewszystkiem prawdy. Tą pierwotną bowiem niższością cywilizacyjną w porównaniu z otoczeniem tłomaczy się przedewszystkiem cały tragizm losu Otella.

Przyznaję się, że początkowo nie wzbudzała we mnie zbyt wielkiego zaufania Desdemona p. Paszkowskiej. Zdawało mi się, że energiczny temperament tej bohaterki par excellence nie potrafi się nagiąć należycie do lirycznych akcentów przeważających w tej roli. Pierwsze jednak pojawienie się na scenie wysoce uzdolnionej artystki rozwiało moje obawy. Ze zdumiewającą intuicyą wżyła się nasza bohaterka w tę na pozór obcą zupełnie sobie postać, stworzyła Desdemonę ujmującą kobiecym wdziękiem, a rozrzewniającą widza szczerością i prawdą uczucia. Szczerze powinszować można młodej artystce tej pięknej kreacyi. Na szczegółowe zaznaczenie zasługuje przy tem staranność i sumienność, z jaką ta artystka opracowuje każdą powierzoną sobie rolę. A zważyć wypada, że role te, w których występować jej przychodzi co chwila, należą po części do najobszerniejszych i najtrudniejszych w całym repertuarze dramatycznym. *A. Z.*

Na Wyłomie.

(Słówko o reklamach. — „Kuryer“ w roli gwiazdora. — Nieugięci.)

W stuleciu wyuzdanej konkurencyi i gorączkowej pogoni za chlebem zakwitło bujnie w starej Europie i nowej Ameryce rzemiosło reklamy. Rozpasana arlekinada zbrojna w szych błyskotliwy i wielkie słowa humbugu tańczy na rynkach, a tłum łatwowierny, ten wielki niewolnik pozorów, rzuca jej miedź i złoto pod nogi. Czytałem niedawno w jednem z czasopism poznańskich jakąś nowoczesną „Pieśń o ziemi naszej“, zaczynającą się od słów: A czy znasz, ty bracie młody, te kupieckie twoje rody? — inny znów dziennik warszawskiego stempla zapewnia, że 50 Armeńczyków, obleganych przez Turków w zabarykadowanym sklepie, ocaliła przed śmiercią głodową skrzynia czekolady z takiej i takiej fabryki, — wreszcie dowiedziałem się z sensacyjnego artykułu jakiegoś redakcyjnego reklamisty, że kogoś tam na muzułmańskiej ziemi osłonił piernik ukryty na piersiach przed sztyletem skrytobójcy. „A piernik ten pochodził z cukierni pana X. przy ulicy Y.“ tak kończy się oczywiście powieść reportera, ogłoszona drukiem w najpoczytniejszej rubryce redakcyjnej jednego z dzienników syreniego grodu. Literata wyparł dziennikarz, dziennikarza wypiera reporter, reportera „wzmiankarz“, — oto lament poważnego publicysty, ktory niedawno obił się o uszy moje. Ten demoralizujący wpływ reklamy ogarnia dziś wszystkie gałęzie życia społecznego, zatruwa handel, sztukę, literaturę i religię nawet, a przedewszystkiem deprawuje prasę, obniżając jej poziom intelektualny i szerząc kult blagi i szarlataństwa. A nie ogranicza on się jedynie na ukrywaniu marności towaru w olbrzymiej górze kłamstw i przechwałek, lecz

sięga dalej, bierze nóż i maczugę i czyha na życie konkurencyi. Handel i handel bez końca. Ten młyn potężny zmeł na otręby honor i uczciwość, a rzuciwszy pod koła swoje majestatyczne kolosy wielkich słów i haseł rozdrobnił je na filgranowe cacka, zdobiące wystawne okna wszelakich bud towarowych, czy im na imię polityka, sztuka lub prasa. A dziś, gdy gwiazdka się zbliża, rok nowy i kwartał nowy, — papugi i sępy reklamy zrywają się w całych stadach, i dzioby ostrzą i krzyczą. Słuchajcie tylko! w prasie poznańskiej odzywa się znany głos papuzi i sępie trzepotanie skrzydeł, — znacie je wszyscy, — to „Kuryer“ sprawia „przedkwartalną“ hecę.

Przedziwną metodę posiada ten nasz rodzimy Arizona-Kicker. Przez dwa miesiące każdego kwartału brnie w prusofilstwie, plecie duby smalone o życiu społecznem, literaturze i sztuce, umorusa ręce aż po łokcie w błocie, a gdy już nabroił całe Chimborasso rozlicznych fałszów, beztaktów, kalumnii i antinarodowych operacyi, strach go ogarnia paniczny, że w nowym sezonie przerzedzi się armia abonentów i w kasie redakcyjnej nie będzie dosyć oboli, by szerzyć w dalszym ciągu kult kosmopolitycznego klerykalizmu.

Więc w trzecim miesiącu rodzi systematycznie iście króliczą obfitość wielkich, alarmujących artykułów. Trzeba przestraszyć pobożnych czytelników, zgrzytnąć im nad uchem strasznym śmiechem wiedźm Makbetowskich, trzeba wyprowadzić na scenę takie widma Antychrysta i Masoneryi z kielnią i trupią głową w ręku, że zadzwonią zębami i kryjąc się w fałdach Kuryerowej rewerendy zawołają pokornie: „Przy tobie bogobojny Panie stoimy i stać chcemy, boś ty jest kotwicą, ratującą łódź skołataną w rozhukanych bałwanach niedowiarstwa i zepsucia, ty tarczą wiary, puklerzem niewiniątek“. Takie gwiazdory straszące publiczność zjawiają się z systematyczną pedantycznością w łamach prusofilskiej bibuły, — więc nie dziw, że w chwili obecnej, gdy grudzień mrozem i śniegiem zapisał swoje „Jestem“ w naturze i przypomniał panom redaktorom, że czas już najwyższy utrwalić abonentów w miłości dla pisma, Kuryer rozpoczyna ulubioną farsę, ochrzconą dzisiaj afiszowem mianem „S z a l e ń s t w a“. Niech was nowość tytułu nie łudzi, — kubek w kubek to samo co pod koniec innych kwartałów, tylko etykieta efektowniejsza. Szaleństwa? Oczywiście! szalona opozycya, szalony każdy, kto czołem nie uderza przed bałwanem Kuryerowej polityki, szalony „ruch ludowy“, szalona „Młoda Polska“, szaleni wszyscy prócz niego, — nowego Mojżesza, który lud powiedzie tam, gdzie kończy się ojczyzna a istnieje tylko Kościół i Watykan. Szaleńcy! Oni to rzucili rękawicę Bogu samemu, oni z lontem podpalaczów czają się pod Kościół, oni u Niemców-protestantów „żebrają pokątnie poparcia i sympatyi“, oni z ołtarzy ściągają świętości i depcą je stopą brutalną, oni mordują niemowlęta, trują serca dziewicze, zagładę niosą w domy polskie, oni Masoni, syny Belzebuba i Kainów plemię. Śmierć i zgnilizna czeka u drzwi waszych, — jedyny ratunek: „Abonujcie Kuryera“!

Jeszcze nie koniec tej cudownej litanii naszego dziennikarskiego gwiazdora, — ale tchu mi już zabrakło i mróz łamie kości na samo wspomnienie tych okropnych okropności. Ktoby się to, moi państwo, spodziewał, że w naszym poczciwym i pobożnym Poznaniu takie hyeny krążą po ulicach. Jeżeli jednak krążą, to biada Kuryerowi, bo one głównie trupami się karmią.

Tak! trupem jesteś przezacny kolego i nie masz prawa przemawiać „w imię całego duchowieństwa, całej rozumnej i uczciwej inteligencyi, całego wierzącego mieszczaństwa i bogobojnego ludu“, — jeżeli zaś twój dzwon pożarny i twoje pięcie się do wyżyn przedstawicielstwa narodowej cnoty i narodowego rozumu jest sztuczką kramarską, to wiedz, że dobry spekulant stara się o rozmaitość reklamy, bo jednostajność humbugu nuży publiczność i paraliżuje „business“. *Toujours le même*! To dobre w miłosnych listach i miłosnych pieszczotach, — a i tu nie zawsze — lecz gdy o jarmark, targ i handel chodzi, to bez fantazyi niema interesu.

Metoda kupiecka nie polega bynajmniej na nieskończonem bisowaniu jednej i tej samej piosenki, lecz przeciwnie siła jej tkwi w bezustannej nowości i zmianie wabików reklamowych. I dla tego uznaję wprawdzie w kolegach naszych z Kuryera znakomity materyał na Blagieradzkich, lecz rutyny i mistrzostwa przyznać im nie mogę. Rozumiem także ten dziwny strach, który objawia się z dnia na dzień wyraźniej w stronnictwie „ładu i porządku“ wobec grupy młodopolskiej opozycyi, ale nie lękam się bynajmniej tych furyi z żmijami we włosach, które Kuryer przeciw nam wypuszcza, a które, jeżeli można wierzyć zapewnieniom jego, gotuje także „władza duchowna jako taka“, aby kres położyć „roznamiętnionej swawoli“.(!) Stronnictwo nasze, które ktoś nazwał „stronnictwem zdrowego krytycyzmu, pokrewnem czeskim realistom ze szkoły Masaryka“, nie kurczy się pod kopytami rozmaitych Kuryerowiczów, lecz rośnie i potężnieje z dnia na dzień. Rozwój nasz oczywiście nie odbywa się w galopowem tempie i długo jeszcze na zachwaszczonej ziemi sterczyć będą powagi „ładu i porządku“ jako mur obronny dla wszelkiej miernoty, blagi, oziębłości i politycznej ślepoty, długo jeszcze syk jadowity razić będzie uszy nasze „gdy pośród tłumu błyśnie w ogniach twarz człowieka“, długo jeszcze karły i pigmeje wspinać się będą na palce a lud uwierzy, że olbrzymów widzi. Lecz jutro, — jutro do nas należy! Tą wiarą silni, mimo klątw i pogróżek waszych, mimo atmosfery i fauny bagniskowej, naprzód pójdziemy z spokojem ostrzelanych żołnierzy, zapałem serc niewystudzonych i brawurą Heinowskiego typu. *Sulla.*

KRONIKA LITERACKA

* **Nowe pismo.** — Krakowski Związek literacki będzie wydawał od dnia 1 stycznia 1896 roku miesięcznik p. t. „P r z e g l ą d l i t e r a c k i“. Pismo to będzie miało na celu uczynić zadość oddawna uznanej potrzebie organu, który z jednej strony byłby ogniskiem życia literackiego, z drugiej łącznikiem między literatami a czytającą publicznością; pierwszym ma ułatwić wzajemne stosunki, drugiej oryentowania się pośród najróżnorodniejszych publikacyi i poznanie prądów literackich i ruchu naukowego tak w literaturze polskiej jak i ogólno-europejskiej. W tym celu będzie „Przegląd“ zawierał: I. Artykuły literackie, dające pogląd na rozwój literatury polskiej i obcej, ze szczególnem uwzględnieniem literatur słowiańskich; II. Treściwe sprawozdania z nowych publikacyi, z krótką, bezstronną oceną; III. Sprawozdania z wybitniejszych utworów dramatycznych, przedstawianych na scenach polskich; VI. Wiadomości ze świata literackiego i dziennikarskiego; V. Bibliografię literacką czasopism i dzienników; VI. Rozmaitości literackie; VII. Odpowiedzi na zapytania w kwestyach literackich.

W skład komitetu redakcyjnego „Przeglądu literackiego“ wchodzą: Kazimierz Bartoszewicz, X. Dr. Jan Fijałek, L. Glatman (Ludomir), Dr. Feliks Koneczny, J. Kotarbiński, Ignacy Maciejowski (Sewer), Michał hr. Rostworowski, Dr. Józef Tretiak, prof. Roman Zawiliński i Dr. Maryan Zdziechowski.

Przedpłata „Przeglądu“ wynosić będzie rocznie 3 złr., półrocznie 1 złr. 50 ct. — Adres Redakcyi i Administracyi: Kraków, ulica Szewska L. 27.

Redakcya „Przeglądu literackiego“ zwraca się z prośbą do Redakcyi wszystkich czasopism polskich oraz do wszystkich pp. autorów, wydawców i księgarzy, aby jej jeszcze przed 10 grudnia wydawnictwa swe nadesłać raczyli, jeżeli pragną znaleść z nich sprawozdania w numerze 1 „Przeglądu“ z dnia 1 stycznia 1896 roku.

Kronika powszechna.

Wiadomości społeczne i polityczne. Fundusz towarzystwa dziennikarzy polskich we Lwowie wynosi już 10.000 złr. Uniwersytet w Zagrzebiu dopuścił na wydział filozoficzny cztery kobiety w charakterze wolnych słuchaczek. — Wydawca berliński Lemke przygotowuje do druku obszerne dzieło dotyczące życia i zasług naukowych Kopernika. W zimi odbędą się w Warszawie odczyty popularne przeznaczone na wydawnictwo broszurek dla ludu. Udział wezmą między innemi A. Dygasiński, M. Heilpern, Klemens Szaniawski (Junosza) Edmund Lemkowski, dr. Bujwid. — Między dwoma miastami Brighton i Rottingding, położonemi na południowem wybrzeżu Anglii, ma być przeprowadzona linia kolei żelaznej, którą możnaby nazwać podmorską. Linię tę wytknięto już w samem morzu, równolegle z brzegiem; szyny układają się na torze, utworzonym ze skał, które w czasie przypływu morza pokrywają się wodą na wysokości 2 sążni. Nowa droga buduje się w celu leczniczym: mianowicie przy jej pomocy mają tam leczyć suchotników wodą i powietrzem morskiem. — Prof. Dr. B. Wicherkiewicz z Poznania mianowany został profesorem Wszechnicy Jagiellońskiej na katedrze okulistyki.

Teatr i muzyka. Paryski „teatr poetów“ w sezonie wiosennym ma wystawić Lille Wenede. — J. Śliwiński wyjeżdża na koncerty do Ameryki. — W Warszawie rozpoczęto próby z farsy Andrzeja hr. Fredry (wnuka) p. t. „Stowarzyszenie kobiet wyższych“ — Lamoureux tworzy w Paryżu „Teatr Wagnera“ na wzór Baireutu. — Jan Strauss wystawia w Wiedniu operetkę pt. „Waldmeister“. — Wielkie powodzenie miał w Monachium dramat Hermana Haasa pt. „Pram“. — Dwunastoletni Eugenii Rodriguez wystawił w Madrycie komedyę pt. „Maria“. — P a n i Ż i m a j e r o w a, obecnie stale angażowana w Carlteatrze wiedeńskim, zdobyła sobie przez dwa miesiące swoich występów całą sympatyę prasy i publiczności, Przez dwa miesiące grała dzień w dzień operetkę Suppego „Model“. Obecnie po „Modelu“ nastąpił wodewil francuski p. t. „Maison Tamponin“, w którym p. Zimajerowa gra główną rolę. Zrobiła ona w niej prawdziwą furorę i wysunęła się na pierwszy plan nawet w obec tak świetnego i lubianego w Wiedniu komika jak Tenele. Wszystkie dzienniki bez wyjątku poświęcają naszej artystce słowa gorącego uznania. Wiener Allg. Ztg. stawia ją na równi z Judic i Gallmeyerową.

Zmarli:

A l e k s a n d e r D u m a s ur. 1824 r. — głośny autor komedyi, powieści i dramatów, członek akademii francuskiej.

S t a n i s ł a w B u d z y ń s k i, były profesor szkoły Głównej a potem uniwersytetu warszawskiego, tłomacz i autor dzieł i rozpraw z zakresu prawa a zwłaszcza kryminalistyki. — Tłomaczył również utwory poetyckie (Kalderona, Oehlenschlägera, Lermontowa). — Umarł mając lat 71.

Odpowiedzi Redakcyi.

J e d e n z a w i e l u. Pan K. Bartoszewicz jest równocześnie współpracownikiem naszym i „Kraju“ petersburskiego. — Artykułów p. E. P. nie zamieszczaliśmy nigdy w „Przeglądzie Poznańskim“. Bliższych wyjaśnień udzielimy listownie, jeżeli panowie uchylą anonim.

G. J a ź w i u. Oj! „podlotku“, nam się wydaje że ty już granice Jezusowych latek dawno przekroczyłeś. To też polecamy ci bez obawy o pensyonarskie raczki i karzącą rękę mamy-dobrodziejki czytanie wszystkich artykułów naszych, lecz czytaj je uważnie i czytaj z tą świadomością, że poważny artykuł naukowy liczyć się nie może z postulatami konwenansu salonowego i figowemi listkami flirtu.

Sprostowanie.

Do rubryki petitowej „Teatr i muzyka“ zamieszczonej w ubiegłym numerze, wkradła się następująca omyłka: Zamiast: w „Warszawie odegrano z ś w i e t n e m p o w o d z e n i e m sztukę A. Konara „Gąsienice“, — czytać należy: Z ś r e d n i e m p o w o d z e n i e m.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.